

JAKÓB BOJKO
SPIŻ

WRAŻENIA Z WYCIECZKI
DO SĄSIADÓW NA SPIŻU



3000002400

KRAKÓW 1914

NAKŁADEM WYDAWNICTWA
PRZYJACIELA LUDU.

AKOBBOLKO

P 112

WYDZIAŁ
HISTORII

S P t Ž



193082

913(438):913(437.6)

Akc. 19 1894

Prusackie krzyżactwo z lubością śpiewa jedną swoją pieśń narodową, w której jest pytanie: „gdzie jest niemiecka ojczyzna“? (*Wo ist dein deutsches Vaterland?*)

Naturalnie, że Prusak poeta odpowiada na to pytanie po krzyżacku, to jest, że gdzie tylko są Niemcy, gdzie słyhać ich mowę, to tam i ich ojczyzna. Czyli po prostu mówiąc: gdzie komu Niemcy kraj zagrabiają, tam ich własność i ojczyzna.

Tej metody od wieków się trzymając, wytępili rdzenną ludność pruską, wyparli słowian z ich odwiecznych pieleszy, że dziś tylko ich wiekowe groby i wykopaliska wydobywane z ziemi świadczą o ich tu bytności. A mieszkali nawet koło Berlina słowianie, dziś tylko nazwa ich istnienie przypomina, boć ber, to znany gatunek prosa, a lin, rzeczna ryba. I dziś tu ich pruska ojczyzna, dziś ich stolica państwa, dziś tutaj śladu z odwiecznych właścicieli Słowian nie masz.

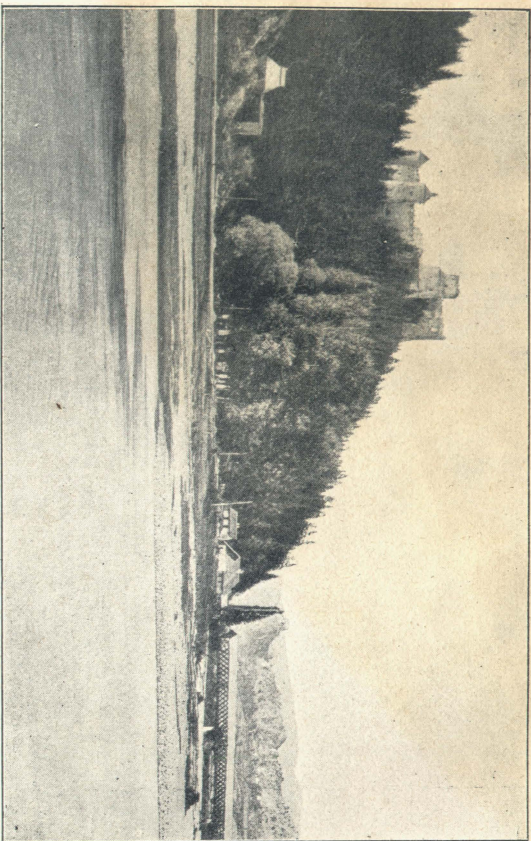
Co zrobili ze słowiańskimi ludźmi, to od rozbioru Polski robią z Prusami królewskimi i wschodniemi. Przechrzcili miasta i wsie po swojemu i dogryzają polski element z systematyczną pruską wytrwałością. Nawet kolebkę narodu naszego, kochaną Wielkopolskę, dławia swą żelazną łapą i mimo, że lud polski i część uczciwej szlachty trzyma

się swej ziemi i narodowości rękami, nogami, to mimo są i tam bolesne szczyrby. Wielu lekkomyślnych szlachciców, a właściwie łotrów, za pruskie marki sprzedaje bezwstydnie one dworki starodawne, o których się tak często i u nas deklamuje, że one są „ostoją ducha narodowego“, a innych szatańskim prawem wyrzucają z własnych, odwiecznych siedzib. I nie dziw, że się prusactwo i tutaj panoszy, rozpiera i butnie śpiewa; że tu jest tak samo: „*deutsches Vaterland*“. A nawet do Królestwa Polskiego napchało się tego chrobajstwa nie mało i wielkie miasta fabryczne roją się dziś od Prusaków. Ślepi Moskale gnębią Polaków, a popierają Prusaków i nie widzą, że ta żmija pruska pokaże im kiedyś do czego zdolna i gdy się nadarzy pora, mogą Prusacy i tu naprawdę powiedzieć, iż i tu jest niemiecka ojczyzna. Czego nie daj Boże!

Serce się kraje na widok takiej przemiany losu w naszej kochanej Ojczyźnie. Ci, co byli naszymi sługami niegdyś, co czołem bili przed polskimi monarchami, dziś nam nie tylko panują, ale nas wyrzucają z odwiecznych domów, za to, że nie chcemy być Niemcami i Moskalami.

Jak to między pojedynczymi ludźmi, tak bywa i z państwami, że jak się kto lichogospodarzy, jak się nie pilnuje a luśtykuje, to ani się obejrzy, jak się mu gospodarka z garści wyplezie, a nawet i kraj.

Tak się i z nami Polakami stało i o tem



Nidzica

wszyscy prawie mądrzejsi chłopci polscy dobrze wiedzą i słusznie narzekają na tych, co byli w one czasy świecznikiem narodu,— na panów oczywiście Ale to narzekanie zda się psu na budę. Zjedli, wypili, pohulali, pomarli, prochy ich wiatr rozrzucił, a Pan Bóg ich już pewnikiem za to osądził.

Zgroza przejawia, jak się widzi scenę, którą przedstawił nieodżałowany Wyspiański w swem „Weselu“, jak dumnego panka polskiego, który za dukaty spełnił czyn zbrodniczy, męczą one djabliska na tamtym świecie. Ale ani djabłów nie trza, jak się widzi, co potomkom, może i zacnym, robią nasi wrogowie.

Bywa znów i tak czasami, że gdy gospodarz wyzuty z swej roli, chwyci się poprawy i pracuje w pocie czoła, ciulając grosz do grosza, to uda mu się napowrót zdobyć gospodarstwo utracone i wtedy dopiero umie je szanować, a pilnować, a kochać, niby chory zdrowie.

To samo dzieje się i z krajami i z państwami, jeżeli to, co ich zgubiło, poniechali, jeżeli nie zatracili swego języka i tej wiary i nadziei, że chcą i muszą to mieć, co utracili.

Patrząc na to, co się dziś dzieje, choćby onoli i w tej naszej Galicji, jak się wszyscy zremy na kupie, niby zganianięta, tak panowie, a smutno powiedzieć, że ta zaraza i chłopów nie minęła jak jedno stronnictwo szkaluje drugie, z przykrością przychodzi

powiedzieć, żeśmy tego, co zgubiło Polskę, nie poniechali, tylko z rozmysłem pielęgnujemy, t. j. niezgodny.

I człek się pyta sam siebie: a więc mało było tej wyćwiki strasznej, jaką nam od wieków dają nasi zaborcy, mało tych szubienic, rozstrzelań, sybirskich lodów i tortur, mało tych łez wdów i sierót? A my dziś tak robimy te prace niby na odbudowanie Polski, jakbyśmy chcieli powiedzieć wrogom: „a tak jest, że mało!“ Wszelkie nauki przeszłości kopią następcy z szaleństwem i widno, że główne zadanie Polaków w Galicji dzisiaj, zreć się między sobą o to, kto niby lepiej Polsce służy.

Jeżeli panowie i niby inteligencja nie może, czy nie umie inaczej Polsce służyć, tylko ujadaniem i wymyślaniem, to my chłopci polscy powinni przecież tę piekielną jędzę wyprosić od siebie i zgodnie kłaść cegielkę do cegielki na przyszłą budowę narodową. Inaczej rozdziobią nas kawki, wronki, inaczej będziemy takimi zdrajcami Polski jak ci, co ją, kłopotąc się o godności i majątki, utracili. I wskutek naszej głupiej nieopatrzości może kiedyś Prusak, czy jaki inny odmieniec, pokazać nawet i na Galicję i zaśpiewać, że tu jest jego „niemiecka ojczyzna“

Jeżeli Niemiec tak się dopytuje ciekawie, gdzie jest jego *deutsches Vaterland*, pomyślmy my, braciszku mili, czy też przychodzi nam do łba choćby czasem za-

pytać się kogoś, gdzie jest nasza polska Ojczyzna?

Czy to tylko wedle Krakowa i Tarnowa, czy jest jej może więcej gdzie.

Wincenty Pol, znany pieśniarz polski, napisał przepiękną książeczkę pod tytułem: „Pieśń o ziemi naszej“, która się zaczyna pytaniem :

„A czy znasz ty bracie młody,
te pokrewne twoje rody,
tych górali i Litwinów,
i Żmudź świętą i Rusinów?“

Na to pytanie ilużby, nie już chłopów, ale sławetnych małomieszczan odpowiedzieć musiało: „Bracie Wicusiu! my dzisiaj nie tylko • Litwinach i Żmudzinach nic nie wiemy, ale my się nawet w powiecie nie znamy, jak wypada. My ludzi z sąsiednich parafji zowiemy politycznie: „przywłokami“, a jak kto ucieknie z powroza czy łańcucha Moskalowi, to już do zgonu jego mianujemy go po bratersku „przegnańcuchem“, kość z kości naszych, krew z krwi.

A ja z przykrością widzę, że dziś sąsiad sąsiadowi na wsi staje się, jeżeli nie zawsze wrogim, to prawie jak obcym. Wszystko się zaszyło w swych chatach, ogrodziło się w koło płotami, wszystko żyje samo dla siebie, niby samojedniki. Żadnego porozumienia, żadnej sąsiedniej pogawędki, a jak się gdzie zejdą, to chyba, żeby się kozikiem pojuszyć i potem do sądów.

W jednej wsi, a cóż tu mówić o dalszych

sąsiadach, co mówić o tych, co tyle dalej od nas mieszkają pod innymi zaborami?

Nie mili bracia, tak być nie może. Cieszymy się, że może też Pan Bóg dozwoli nam kiedyś odzyskać to, co nam przodkowie lekkomyślnie utracili, a sąsiedzi po zbójceku zrabowali.

Cieszę się, że ta nuta gra w piersiach coraz liczniejszej rzeszy chłopskiej, ale proszę Was poznaćcie sami siebie lepiej, pokochajcie się po bratniemu, a potem poznaćcie „te wasze rody“, z czego słyną, kędy giną. Jak się powodzi braciom, których silna granica wrogów od nas oderwała, jak oni się tam gazdują, czy im lepiej, jak nam tu, czy gorzej. A jak ich poznamy, to ich pokochamy, i wtedy dopiero się nam pokaże ta Ojczyzna — co to był za olbrzym, państwo od morza do morza, co to za naród serdeczny, którego chcą zamordować, zakatrupić.

Wiem ci ja moi mili, że na wycieczki dalekie was nie stać, aby zwiedzić prowincje dawnej Polski, aby poznać kochanych ich mieszkańców. Jedynie możemy się o nich dowiedzieć, czytając opisy, których nie brak, jeno, że ich na nieszczęście czytać mało kto chce. Ja nie wiem, jaki kto z was ma gust, ale ja bardzo lubię czytać opisy o naszej Polsce, a i o innych krajach wogóle. I przyznam się, że podróże i czytanie podobnych książek sporo mi pomogło do wywyrgnięcia parę cali wyżej. Rok w którymby się ni-

gdzie nie wychynał za próg z rodzinnej wioski, uważałbym za stracony.

Tego roku, zrobiłem też małą wycieczkę do Braci Słowaków za Tatrami, a com po drodze zauważył, dzielę się z szan. czytelnikami.

Mniej teraz piszę, bo mi na to czas nie dozwala. Zresztą zarzucają mi młodzi, że się starzeję, że nie ma we mnie „rządu“, toć usuwam się w zacisze, nie wystawiam się na przodek, niech młodzi tańczą i pokażą co za zuchy — ja na ostatku idę za „dobijacza“ *) i to co mogę i umię, Wam bracia ku nauce i rozrywce dziś podaję.

Dnia 18 sierpnia ubiegłego lata wychynałem się z chałupy i niebawem znalazłem się w Starym Sączu, gdzie miałem spotkać towarzysza podróży. Po różnych rozmowach trafiła się nam okazja do Krościenka, z czego byłem rad niemało.

W mieście świętej Kingi zastałem tamtejszych chłopów, radzących o wyborach do Rady powiatowej. Chłopy tamtejsze, nie można powiedzieć, rosłe, zdrowe i przemysłne. Nie źle się im powodzi, boć to ziemia sądecka z dawna słynie z dobrobytu, jako, że królowie polscy mieli ją na pamięci, licząc od św. Kingi, która ją na wiano dostała.

Ziemia to prześliczna, urodzajna, toż to gospodarstwa tutaj są nie byle jakie, chłopci

*) Ten, co tańczy na ostatku za drugimi.

tutejsi od dawna, działwę swą pchali i pchają do szkół wyższych, a przeważna ich liczba idzie do stanu duchownego. Nie głupio kalkulują, bo niech mówi, co kto chce, ale to stanowisko dzisiaj nie do pogardzenia, bo daje i chleb i władzę, a oto się ludziska mordęczą od stworzenia świata, i aż do ostatka, jak widać mordować się nie przestaną.

Pod względem politycznym atoli, chłopie tutaj pozostawiają bardzo wiele do życzenia, i masz tu prawdziwie groch z kapustą. Rozbili się na partyjki różnorodne i jeżeli ich Duch św. jakoś nie oświeci, toć to będzie kupa piasku, czy żwiru, z którego nikt nic nie zbuduje, ale sprytni użyją ich na wybrukowanie drogi dla siebie i swego interesu.

A szkoda, boć to powiat, w którym chłopie, najpierw się ruszyli do życia politycznego. Widocznie przełękli się tego kroku i na głowę lecą na dół, ze szkodą wielką dla ruchu ludowego. Czy się poprawią? Daj to Boże.

Uderzyć musi każdego lepsza gospodarka w tej okolicy i te drzewa owocowe przy drodze i domach, które tego roku suto obrodziły, i aż się proszą aby ich spróbować. Chwała Bogu, że co raz więcej u nas zajmują się ludzie sadownictwem, które gdzieindziej przynosi grosz nie mały gospodarzom i świadczy, że ci, co je sadzili i wypielegnowali, to ludzie myślący o przyszłości, a nie kupa cygańska.

Wieś Gółkowice Niemieckie, zwra-



Kościół w Łącku

ca uwagę domami, budowanymi ciekawie wzdłuż drogi, którą zamieszkują koloniści niemieccy, lutrzy ponoś, ale nie było wiele czasu na rozpytywanie, bo jurny góralik spieszył się po gości do Krościenka.

W J a z o w s k u jest fabryka mebli, i jeżeli z jednej strony ludzie mają zarobek, to z drugiej przykro patrzeć, jak piękne wzgórza nadunajcowe łysieją coraz bardziej i świecą się smutniej, niż głowa piszącego.

Okolica to urocza, i nic dziwnego, że tu tyle lat Lubomirscy mieli swą siedzibę. Obecnie Izraelita Ader tu gazduje.

W Jazowsku mają założyć stację elektryczną. Elektrykę mają wytwarzać nurty bystrego Dunajca, który się nie spodziewał, że go zaprzęgna o oświetlania miast sąsiednich, a może z czasem i wiosek.

Niebawem przybyłem do wsi, skąd pochodził ów rycerz niezapomniany, Zyndram, który pod Grunwaldem tak wielką odegrał rolę; przybyłem do M a s z k o w i c.

Naprawdę, że się chce czapkę zdjąć tu wjeżdżając, tylko niewiedzieć przed czym pierwaj. Czy przed ową cudowną okolicą, czy przed tymi rozległymi sadami, czy przed tym urodziwym a strojnym ludem, czy też przed owym wzgórzem, na którym stał ongi zamek Zyndrama z Maszkowic.

Takie wszystko urocze, tak imponujące temu, co już widział nawet i kawałek Bożego świata. A przede wszystkim przed owym krzyżem z kamienia, który wybudo-

wali „na cześć i chwałę Boga, Marcin i Rozalja Zbożniowie“, tutejsi, zamożni jak wiadać gospodarze. Możeby coś i opowiedzieli, gdyby do ich sadem umajonego domu zaglądnąć, ale chyży jak jaskółka góral, pędzi krępym konikiem i zapowiada swój popas dopiero w Łącku, gdzie, jak twierdzi, dostanie wódki i „czego tylko sobie życzą“.

Na miejscu, gdzie stał ongi zamek Zyndram, niemasz dziś i kamyka, chyba w ziemi. Wszystko gdzieś znikło. Dobrze, że ksiądz kanonik Długosz opisując ową wielką wojnę grunwaldzką, wspomniał o Zyndramie, a Sienkiewicz, na lepszy widok potomności wyprowadził go, bo nawet by nikt o nim nie wspomniał. Tak czas wszystko zaciera.

A przecież Zyndram i Witold, wraz z innymi bohaterami, głównie przyczynił się do pogromu krzyżactwa, który przypisujemy Jagielle, jako głównodowodzącemu.

Cześć ci zatem wielki rodaku, i odemnie, mizernego Kuby, obyśmy takich się dorobili. Żałować wypada, że tak mało, prawie nic nie wiemy o tym zuchu, o jego życiu i o tem, co się działo na jego dworze w Maszkowicach, boć tu zapewne musiało kipieć całą siłą i nie była taka cisza, jak dzisiaj.

Nie wiem, kiedy mury tego grodu znikły z powierzchni, słyszałem, że wieża kościoła w Łącku ma być z jego murów zbudowana.

Musiała ręka ludzka silnie się do jego zniszczenia przyczynić, boć jego rówieśniki Czorsztyn i Niedzica jeszcze stoją, więcej lub mniej zniszczone i dają świadectwo przeszłości, że umiała wybrać i miejsce pod budowę i budowała nie na tandetę, ale na wieki.

Nareszcie stanęliśmy w Łącku. Góral dał koniowi jeść, a ja poszedłem ku kościołowi, który na szczęście był otwarty.

Kościół to nie dzisiejszy, jak widać po jego grubych murach, w których, w razie wypadku, w dawnych czasach można się było jakiej halastrze od biedy i opędzić. Częściowo kamień, a częściowo cegła, świadczą o jego starożytności, a okienka małe przypominają ówczesne strzelnice zamkowe. W kościele obrazy, niepośledniego pędzla, przed którymi także modlił się Zyndram, a ołtarz wielki i chrzcielnica, to rzecz niezwykła, ale na ostatniej napisu odczytać nie umiałem.

Na środku kościoła wejście do grobowca prowizorycznie deską nakryte, snąć się pierwotne zepsuło. Kościelny twierdził, że niegdyś był w grobowcu, gdzie są trumny. Któż wie, czy tu nie spoczęły popioły zasłużonego Zyndrama i czy szukając, cośby się jeszcze szczętów nie znalazło?

W kościele, na ścianie, widać dość skromny napis, przypominający ś. p. księdza Pościłowskiego, tutejszego plebana.

Jak mi mówiono, był to kapłan niezwy-

kłej miar. Syn Sybiraka, szlachcic, słynął z dobroci serca, staropolskiej gościnności i z patriotyzmu. Jego dom otwarty był dla biednych i kto tu zabłądził, a słynnego piewcy Chorału, Kornela Ujejkiego był serdecznym przyjacielem, który tu bawił na wywczasach wakacyjnych często. Umarł w r. 1898 i pochowany na cmentarzu w nieosobliwej kapliczce.

Obecnego plebana nie widziałem, mówią, że człek nie ostatni i zamiłowany w parafji. Grunta plebańskie uprawne dobrze, skąd przykład dla sąsiadów i zachęta do intensywniejszej pracy około zagonu ojczystego.

Na wieży, zbudowanej, jak się wyżej rzekło, z zamku Zyndrama, za czasów cesarza Józefa II, widnieje zegar, który przypomina sławetnym mieszkańcom miasteczka Łącka, że już o jedną godzinę są już bliżej księżej obory.

Mieścinę tę przepływa strumyk, który chyba, gdy wzbierze, płata ludowinie nie bardzo przyjemne psikusy.

Szkoła piękna, ani słowa, ale wikarówka krzyczy o ratunek do ludzi, a tylko ogródek i sadek, przy niej, jedynie zdobią jej mizerny wygląd.

Lud e k t u t e j s z y, jak piszą, jest drobnego wzrostu i miało być tutaj wiele maćtołków, z powodu jakoby alkoholizmu, o czym się nie przekonałem. Myślę, że ludziska i tu się hamują zwłaszcza, że moralność, jak mię zapewniano, się wzmacnia.

Nie ostatnio się trzymamy tutaj, bo zeszłego roku (1911) załedwo u nas w parafji 22 „tego drobiazgu“, co to tatuś się do nich nie chce przyznać...

A no, niech wszystko Pana Boga chwali pomyślałem, ale, co to nie w jednej parafji robi się jaskotu*), gdy się trafi kilkoro biednych istot, przez Prusaków, czy innych „przeunaconych“ i woła na biedną ludność, aby nie Moskale, ale Tatarzy, na jej pokaranie przyszli.

Przy drodze wiodącej do Szczawnicy, jest restauracja wcale przyzwoita, gdzie posiliwszy swój grzeszny żywot, ruszyliśmy z grzecznym towarzyszem ku Krościenku.

Droga się wije to wyżej, to niżej wzdłuż kapryśnych nurcików Dunajca, na których prowadzą się roboty, ciekawe dla mnie nadzwyczaj, które dają chlubne świadectwo inżynierji krajowej.

Wózki i wozy, a nawet i powozy, krążą po drodze nadzwyczajnie malowniczej, w których przeważnie widać żydów z swymi żonami i resztą pociechy. Co za szkoda, że od Sącza ku Szczawnicy nie zbudowano dotąd kolei żelaznej, któraby ułatwiła popodróż do tego ślicznego miejsca kąpielowego.

Ożywiłby się ten śliczny zakątek ziemi sądeckiej i ruch turystyczny w Pieniny wzmógłby się niewątpliwie. Żeby to było w Bośni, lub w Tyrolu, możnaby o tem

rychło marzyć, ale to jest przecież w Galicji.

A my Polacy tyle mamy wrogów w Wiedniu, a już i kłopoty w Kole polskiem nie dodają nam przecież tej siły, aby się rząd więcej z nami liczył i dał nam te koleje, które nam są koniecznie potrzebne.

Miejmy nadzieję, że się to przecież może poprawi.

Tak dumając mijałem Tylmanową, której dwór, kościół i plebania stoją na umajonem wzgórzu. Nie było czasu na zwiedzenie kościoła, a wartoby było odwiedzić i ks. Jachnę z sąsiedniej parafji rodem, ale góralik pędził szybko dalej niby nurty Dunajca.

Stąd to pochodził ów słynny zbójnik Łazarczyk, który razem z swym kolegą Baczyńskim zostali w Lewoczy na Śpiżu świętymi.

Krościenko spodobało mi się niezwykle. Jedno, że samo z tem maciupęnkim kościółkiem mile się przedstawia, a powtóre, że do niego przywiązane są dwie stare legendy, o których któż nie wie? A jeżeliby kto nie wiedział, to je warto przypomnieć młodszej generacji.

Jedna powiada, że razu pewnego ludzie tutejsi bawili się w karczmie. Mieszkając w dobrach może królewskich, nie byli tak pańszczyzną i biedą nękani jak lud w innych okolicach, toć chciało się im prędeej i zabawy. Zresztą z natury lud tutejszy jest ruchliwszy i weselszy od ludu z innych stron Polski, jeszcze dziś, a cóż w tamte czasy?

Skrzypek tylko głowę zwiesił na skrzypce, a grał aż się zapocił, a basista rypał na basie śmiało, a poglądał na ochocze, rozkogucone pary dorodnej młodzieży, która i po magłówce byłaby tańczyła, a cóż po muzyce.

Nadjechał ksiądz z Panem Jezusem do chorego. Skrzypek go jakoś dopatrzył, chytnął z stołu do sieni i na progu ukląkł na jednym kolanie, ale tańczące pary suwały dalej obertasa. Za chwilę coś w ziemi zagrzmiało i owo karczmiszko zapadło się z ludźmi w głąb ziemi na wieki, a w tym miejscu powstało jezioro, w którym się pojawiły potworne jaszczury.

Powiałała mi kobieta z sąsiedniej wioski, że jak piękna poświata, a kto godny, to w wodzie widać tego skrzypka i tych ludzi tańczących, ale to już dziś bardzo trudny wypadek. Że też to ta, te kobiety zawsze mają więcej szczęścia do różnych takich cudowności!

Druga legenda prawdopodobniejsza opowiada, że przez Krościenko uchodziła św. Kinga przed nawałą tatarską w góry i właśnie za miastem Krościenkiem:

„Napotkała chłopka w polu, on pszeniczkę siał. Oj siejże chłopku, siejże chłopku, będziesz jutro żał“.

Trudno to było uwierzyć w taki cud pracowitemu ratajowi, ale na drugi dzień przekonał się, że pani ta mówiła mu prawdę.

To też chwycił sierp, popluł w garści

i nuż bieże się do żniwa złotej przenieczki, aż tu ptactwa chmury lecą w powietrzu, psy zawyły złowieszczo, niebawem ukazali się jeźdźcy tatarscy, a ten, co był ich dowódcą przybrał minę łagodną i pyta chłopiny:

„Szczęść ci Boże chłopku miły, przenieczkę znący, czyś ty nie widział, jakiej pani tędy idącej?“

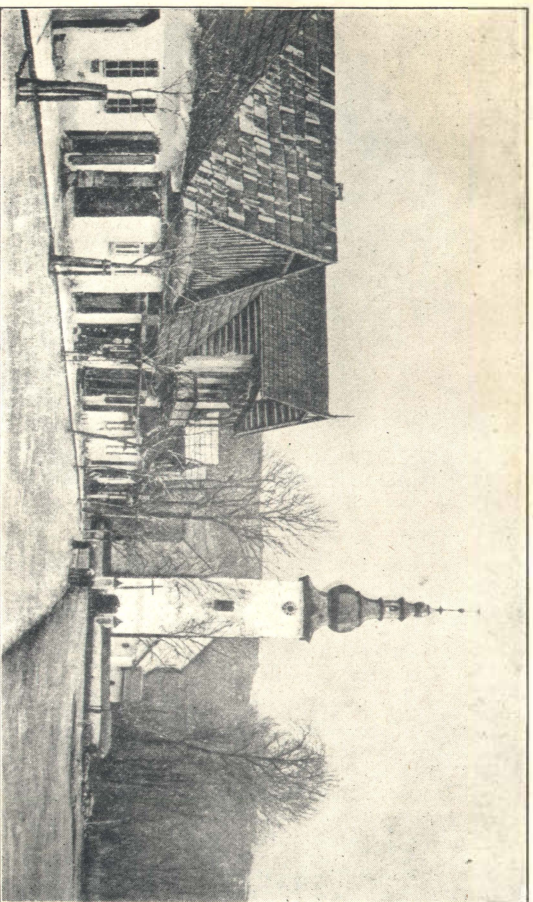
Dowiedziawszy się, że szła wtedy, kiedy on siał pszenicę, wróciła się dzika horda, a Kinga znalazła schronienie w Pieninach. Było nie było, ale obie legendy są bardzo miłe.

Kościółek ten murowany w roku coś 1665 stoi prawie nad Dunajcem i niema wewnątrz nic osobliwego prócz starej kamiennej chrzcielnicy, podobnej do onej, którą w Łącku podziwiałem, i ciekawych drzwi wchodowych.

Przypatrując się niezwyklej robocie w tym świętym gracie, wspomniałem że tu przed ośmdziesięciudziwieciulaty, przy tej przepięknej chrzcielnicy ochrzczono małą dziecinę, malutkiego Henryczka Otowskiego, który później miał być proboszczem w Gremboszowie.

Westchnąwszy do Stwórcy Wszechświata za spokój duszy tego, bądź co bądź niezwykłego kapłana, położyłem po rynku, gdzie na domu gminnym z przyjemnością oglądałem tablice pamiątkowe ku czci Mickiewicza i bodaj, czy nie Grunwaldu.

Przeszłość tego nie robiła, czy nie uważała robić za stosowne. Zresztą na ścianach zamkowych może coś podobnego i było, ale te wróg i czas rozwalił, a tylko jedy-



Część rynku w Krościenku nad Dunajcem

nie po kościołach się coś napisów na pomnikach pozostało.

Ciesz się, że w ostatnich latach, w małych miasteczkach nawet, duch narodowy daje nareszcie znaki życia.

Za miastem widać zesztki zabudowań dworskich. Niebawem roztoczyła się przed nami cudowna dolina, ubrana najwspanialej dojrzewającym zbożem, z którem swawolny wietrzyk igrał dowolnie.

Nareszcie stanąłem zdumiony tą odwieczną starosłowiańską fortecą, przed tym sławnym w historii Czorsztynem.

Zapomniałem naprawdę języka w gębinie i nie wiedziałem co podziwiać wpierw, czy cuda bożej natury, czy myśl gienialną tych, którzy na granicy polskiej ziemi wzniesli na szczycie tego pięknego pagóru tak silną strażnicę.

Widocznie, że miejsce to, a właściwie zamek, zwane w zamierzchłych czasach „Tynem“, boć widzimy, że takie nazwy mają inne grody w Polsce, jak Rabsztyn, Tyniec i wiele innych, a później dopiero dodano do słowa Tyn, Czorsz, i mamy dzisiejszą nazwę Czorsztyn.

Ale jak się zwał, to się zwał, dosyć, historycy wspominają o nim już przed rokiem 1246, a więc to już dziadowina nie dzisiejsza. Skała, na której z bólem serca podróżnik ogląda, a cuduje ruiny starego zamczyska, jest to czerwonawy piaskowiec a ta

czerwoność zdała się być tą krwią, która zboczyła nieraz to miejsce.

Z jednej strony tylko był dostęp do zamku, a zresztą niby z pieca na łeb. Gdy jedyną drogę dobrze obwarowano, toć trzeba było być orłem, aby się do wnętrza zamku dostać, a jednak dali mu radę.

Nasz kochany gospodarz, nasz chłopski monarcha Kazimierz Wielki, obejrzał to miejsce i zaraz wymiarkował, że to nie byle jaki wzgórek i przewidział na co się może w przyszłości przydać.

Obwarował go po swojemu, a obwarował tak silnie, że gdy było nie peć, to tu królowie późniejsi mieli najbezpieczniejszy schowek. Był tu w nim Jagiełło z słynnym Zawiszą Czarnym, którego wnuczki pomnik dotąd w tarnowskiej katedrze widzieć można.

Nieszczęśliwy Jan Kazimierz, uchodząc w roku 1665 przed Szwedami, bawił tu czas jakiś, a odwiedził go i ten zuch Stefan Czarniecki.

W r. 1790 piorun się aż zabrał do jego upadku, a co piorun nie mógł zburzyć, toć ludziska rozdrapali na gorzelnie i domy, zresztą czas, ten największy mocarz, niby turkuć go podgryza, ale jeszcze nie jedno pokolenie będzie mogło ruiny te podziwiać. A może mi kto z braci chłopów powie, — coż osobliwego, trocha muru starego i nad czem się tu tyle unosić.

Na to odpowiadam, że nie mur wart sza-

cunku i podziwu, ale to, co się tu działo. I ktoby nie znał przeszłości miasta, zamku, kościoła lub pomnika, to taki pogapi się za- ledwo coś nie coś, patrząc nań, powie, że duże „pikne, wszyćko od złota i srybła“ i żadnego wrażenia trwalszego stąd nie wyniesie. Ale gdy znasz miły bracie dzie- je tego, co oglądasz, to ci na poczekaniu stają w pamięci te dzieje, ci ludzie, co tu byli czynni, co ginęli itp., i wtedy te martwe głazy do ciebie przemówią tak, że ci się zdaje, jakbyś był z nimi, jakby ci byli znajomi.

A ten okruch Czorsztyna, to pamięta różne czasy, a dla nas chłopów jedna się tu historia ciekawa stała, którą warto przytoczyć.

My chłopci za początkowych królów Pia- stów nie różniliśmy się wiele od niby pa- nów. Wszystko żyło jakoś po bożemu, nie nazywali się jedni szlachtą, panami, inteli- gencją, a drudzy chamami, bydłem itd. Dopiero gdzieś po Bolesławie Chrobrym za- częło się matyjasić i kołtunić.

Nastajały różne dziesięciny, robocizny i mą- drzejsi brali pod nogę głupszych, na co lud sarkał, ale musiał gębę na guzik zamykać.

I gdy Mieczysław Stary zmarł, a żona jego Ryksa porwała syna Kazimierka w je- dną garść, a polskie berła i korony w dru- gą — i uciekła do Niemiec, wtedy lud wiejski próbował wyswobodzić się z pod przemożnej opieki — starszej niby braci.

Na jego czele stanął niejaki Masław i zaczęła się ruchawka, nie po bożemu co prawda, która chłopów nie wyzwoliła, a wódza ich zaprowadziła na szubienicę. Nie potrafili go obronić.

To był pierwszy poryw ludu do wyzwolenia, a Masław był pierwszym przywódcą chłopów, który tak smutno życie zakończył.

Odtąd cichuśko o chłopach. Przykład Masława odstraszał każdego śmiałka, toć się wszystko zgodziło z swym losem, a śpiewało z Dawidem: „Szczęśliwy każdy, kto się boi pana“.

Aż za panowania Jana Kazimierza wypadły straszne wojny kozackie, o których czytaliście w pięknie napisanych, ale nie ze wszystkiem prawdziwych pismach Sienkiewicza.

Panowie chcąc ukrócić kozaków, chcieli im ich praw ukrócić, ale kozacy, lud bitny i zuchwały, do tego dopuścić nie chcieli i wywiązały się straszne wojny kozackie.

Właśnie król Jan Kazimierz szykował się do bitwy pod Beresteczkiem, gdy mu doniesiono, że za Krakowem burzą się górale przeciw panom, a na ich czele jakiś Kostka Napierski, jakiś syn naturalny (znajduszek) ś. p. króla Władysława czwartego.

A dowiedziała się wojująca szlachta i o tem, że ten Kostka wpadł do źle strzeżonego Czorsztyna i ogłasza chłopom pisma, rzekomo przez króla podpisane, aby po-

wstali i zrzucili jarzmo panów, co było wielką nieprawdą.

Dowiedziano się i o tem, że chłopci się organizują w ten sposób, że ten dom, którego właściciel należał do organizacji, ma dom zielenią umajony. Naturalnie, że to panów bardziej przerażyło niż bunt kozacki i w te pędy wysłano 2000 wojska przeciw chłopskiej rebelii.

Nie potrzeba było tyle siły na potęgę rewolucji chłopskiej. Chałupy umaili, gorzałki popili, a wódz niby i obrońca chłopskich swobód miał w Czorsztynie aż 27 chłopów i na przydatek 5 dziewczuch! Inni siedzieli w umajonych chałupach i pewnie mówili chłopskie: „Trzebaby“.

Wojska biskupa krakowskiego, który się pisał Gembicki, otoczyły Czorsztyn i wezwały obleżonych do poddania się. Jużci bronić się nie było ani kim, ani czem, ale Napier-ski ani o tem myślał.

Jednak jego towarzysze broni wskoczyli do głowy pó rozum, napadli biednego trybuna chłopskiego z niedobaczka, powiązali niby ciele na jarmark i oddali w ręce żołnierzy Gembickiego.

Ci dali go w ręce sądu, a ten natychmiast skazał go na śmierć straszną, nie-ludzką, ale która wtedy była w modzie — na pal.

Gdy nie chciał wydać współników, kaza-no go katu polać roztopioną siarką, kome-derując dosłownie: Pal go kat, pal go raz,

dwa, pal pięć. Słowa te: bierz go kat, pal pięć, mają nasi chłopci w użyciu do dnia dzisiejszego, a nie wiedzą, co one znaczyły niegdyś.

Zapisali historycy, że gdy wieźli na śmierć wodza chłopów: „był blady jak chusta, miał wejrzenie groźne i surowe, a jadąc zwolna przez tłumy narodu, poglądał po ludziach, jak gdyby go interesowali“ (Szkice Kubali). Mój Boże, jakże go mieli nie interesować. Szczerze, czy nie, obiecał im poprawić doli, mówił im o gruntach, o wolności, o tem, że już panowie nie będą im bronić palenia w domach gorzałki, że cła, myta i karczmy nie żydom, ale im będą wydzierżawione.

Chłopom się to podobało, ani słowa, obiecali się stanąć przy nim, poprzeć go siłą, maili domy itd., a jednak gdzież są, gdzie ich siła, gdzie potęga i czy godni są wolności, kiedy na nią nie chcą popracować? Nie obliczył się z siłami, zawiódł się na chłopach i teraz pijany kat z Biecza, nawłóczył go na ostry, okuty pal. Na Krzemionkach podniesiono nadzianego na pal chłopskiego trybuna, a chłopstwo mu pomódz nie mogło. Drugi trybun ludowy, ginął straszną śmiercią, bo w wyrokach opatrzności było zapisano: „jeszcze nie przyszła godzina waszych wyzwolin“.

Dziś, chwalić Boga, chłopci zrobili duży krok wprawdzie naprzód, ale wielu z nich, co robią dla tych, co się dla nich narażają, co ich chcą w jedno ogniwo zespolić?

Takie smutne myśli snuły mi się, gdym stał na ruinach zamku czorsztyńskiego, a przyszła mi ta myśl jeszcze: Na coś się w Polsce zakrawa, robią się jakieś niby przygotowania, celem wyswobodzenia Ojczyzny z szpon — pana batiuszki, białutkiego cara i tp.

Czy chłopci polscy — zawsze będą obojętni na swych prowodyrów i patrzeć będą na ich skon na palach, aby się sprawdziło przysłowie — słuź panu wiernie itd., czy nawet dziś, gdy chodzi o coś więcej, niż o zniesienie rewizorów, chłopci — zachęcają, obiecują, umają swe chałupy — a potem... zostaną w chałupach, wystawiając na pal swych prowodyrów? — Darujcie, ale mnie się zdaje, że tak będzie...

Może być, że się mylę, ale co mi ta do łysego łba przyszło, stojąc na zamku Czorsztyna, to się wam spowiadam i gdy się omyle, bierzcie na mnie bracia powroza — i hajda na gałąź!

Patrząc na Masława, Napierskiego, Stojalskiego, no i na Stapińskiego, widzę — jak bracia chłopci, płacą — swym obrońcom.

Toć też między księżmi i innymi ludźmi — nie ma wielu głuptaków, którzyby z oddaniem się służyli sprawie chłopskiej, bo każdy, znając to, co się pisało wyżej, pomyśli sobie:

To naród niewdzięczny, a widzę jak płaci tym, co za nim gardlują.

Lada jakiś Babicz — chcący być jene-

rałem, lub Zamorski i Dąbski — powie nowe kłamstwo na wodza ludowców, a chłopci powiedzą: a. a. a. służę takim ludziom wiernie?

Takie myśli były mi we łbie, gdym uchodził z zamku czorsztyńskiego. Ubolewałem, że my, chłopci, radzibyśmy niby lepszej doli, ale się kupy nie trzymamy, zrażamy naszych prowodyrów, a nawet wybrani przez nas posłowie chłopscy — nie raz — nie wiele się różnią od najgłupszych braci chłopów...

Rządzący w kraju o tem wiedzą dobrze, i kpią z żądań przywódców ludu, mówiąc: „Panie! za panem nie wszyscy chłopci w kraju stoją, na was liczyć nie mogą — wyście fura piasku, żadnym cementem nie spojona, z wami się liczyć nie mogą itd.“

A przywódcy, bici przez wrogów chłopskich, stają z załamanemi rękoma — i mówią: „Czy warto dalej co dla tego chłopca robić? czy to prawda, co piszą pańskie gazety, że nad potomkami niby Chama -- wisieć musi boża klątwa, aby wiecznie był pod czyją nogą i był sługą niewolnym?“

— A niema tu gdzieś jakiego zbiorku wykopalisk i innych pamiątek — pytam obdartego przewodnika, który, miał klucze od lichych drzwi zamkowych Czorsztyna, a który jak na jego wygląd, wiedział dosyć drobiazgów o przeszłości Czorsztyna?

— Jest tam coś w tym ono budyneczku, odparł przewodnik, ale pan Drohojowski,



Popradzkie jezioro



193 082

czasem się gniewa, gdy się mu ludzie naprzykrzają...

Bóg z nim, pomyślałem i zrezygnowałem z przykrością z odwiedzin tego zbioru, a jednak przykro człękowi. — Ha, to już u nas taka moda... cóż robić!

Właśnie, spotkałem tu jednego młodziutkiego księżyka, który się wybierał do Spiża, a najawwszy góralka innego, przewieźliśmy się Dunajcem na stronę już węgierską dziś — i ujrzałem się pod zamkiem Niedzicą.

* * *

Przez most przeszliśmy z sz. towarzyszem na drugą stronę Dunajca i stanęliśmy już w ziemi spiskiej, którą dawnymi wieki zwano po łacinie Scepusja.

Piękna ta kraina od bożej dawności należała do Polski, ale za to w one czasy, był taki psi zatracony zwyczaj, że królowie tak targali kraj na szmaty, jak my niemądrze tniemy swe pola dziś, — gdy człęk wydaje, na to mówiący, którą sikulę, albo ono i chodaka — na wiano, toć Bolesław Krzywousty poszedł też tą drogą. Polskę rozharatał między synów, a córkę Judytę wywianował Spiżem, gdy szła za Stefana królewicza węgierskiego.

Taka była głupia postanowa wtedy, a było to gdzieś w r. 1108.

Miało to ono być tak niby do śmierci królowny, ale jak ta już co wilkowi za pa-

zury zaleci, to oddaj się Bogu, a wleż w konopie.

Upomnieć się nie było komu, bo się księżęta żarli wtedy między sobą i tak ta piękna kraina, z biednymi góraliskami przyschła przy Węgrach, aż ci się doczekała króla Władysława Jagiełły.

Dopieroż ci panie święty w r. 1412 jakoś kiepskie czasy były wtedy na cesarza i króla węgierskiego, który się Zygmuntem mienił, i nuże o pożyczkę do naszego króla Jagiełły, bo źle radziła.

Jagiełło, pogromiwszy krzyżaków pod Grunwaldem, był na te czasy przy grajcarze nie lada, toć mu wyliczył 37 tysięcy kóp groszy srebrem, które zwano pragskimi. a zato wziął w zastaw ziemię spiską, wraz z 13-ma miastami. Już je Węgrzy za swe uważali w te czasy.

I taka była umowa na piśmie, że jak Zygmunt odda Polakom grosze, to Spiż jego, a jak nie zwróci, to Spiż będzie Polski.

Po śmierci Jagiełły któryś z królów znów potrzebował pieniędzy, jakto i z nas niejednemu się przytrafi, a wtedy możny pan Jordan z Zakliczyna pożyczył 12 tysięcy złotych dukatów i znowu trzymał ziemię spiską w zastawie. Zygmunt pierwszy Stary, pan gospodarny, przyszedłszy do grosza oddał dług Jordanowi, a Spiż odtąd należał do Polski, aż do roku 1772.

Zanim zdraдлиwi sąsiedzi, wyciągnęli ręce po polską krainę, Marja Teresa, cesarzowa

austriaków i chrześcijanka, wzięła Boga miłośniergo na pomoc i zagarnęła najpierw Spiż dla siebie już w r. 1769, a dziś tu rządzą się Węgrzy po swojemu

O tem, żeby Polakom oddać owe 47 tysięcy kóp groszy, ani dudu!

Takie koleje przechodził kraj, w którym pierwszy raz się znalazłem, u stóp zamku Nidzicy.

Zamek ten jest jeszcze zamieszkały przez węgrea — Salomona, i co powiecie, że mogłem go zwiedzić dokładnie, lepiej niż Czorsztyna pamiątki. Lubo z zamku Zyndrama w Maszkowicach, ani fundamentów nie widać, lubo Czorsztyn, tylko szczątkami imponuje, to Nidzica ich rówieśniczka jeszcze niemal cała opiera się wiekom i służy właścicielowi za siedzibę. Po ścianach zamku, w części zamieszkałej porozwieszano wykopane koło zamku kule ołowiane i kamienie, groty od strzał, łuki i broń ówczesną, a zarazem różne obrazy. Kaplica w dobrym stanie, ale widać, że się nabożeństwo w niej nie odprawia, bo jest mocno zaniedbana.

Widok stąd na Czorsztyn wspaniały i zdaje się, że mieszkańcy Nidzicy mogliby swobodnie sobie z czorsztyńskimi pogaworzyć, tak blisko siebie te zamki stoją.

Służący, co nas oprowadzał, tłómaczył się kiepską niemczyzną — boć był Węgier rodowity, a węgierskiej mowy, toć już człek, ani krzty nie rozumie.

Strażnik węgierski, wyciągnięty, niby lis,

na bujnej murawie, czytał gazetę i jakoś nie nam ta nie mówił, gdyśmy wchodzili do domu, na którym była tablica z napisem: Szalloda. Domysliłem się, że nie co innego to musi być, tylko po naszymu karczma. Napisano tam jeszcze: „bór, sór, palanka“ i czytaj biedny Kubo, ki to djabeł!

U nas szynkarze, przecież są dużo sprytniejsi, bo dla tych, coby czytać nie umieli, wymaluje ci galanto krakowiaczki w czyściutkiej krakowskiej sukmance, czapka na nim czerwona z pawiem piórkiem, jak się patrzy, w ręce trzyma ono naczynie, co się graniówką zowie, i wtedy nawet ślepy zmiarkuje, co tu za chałupa. Widocznie, że Krakowiacy mają do karczmy najwięcej „smysu“, kiedy ich żydzi najczęściej malują na szyldach — na wabika.

Ale nigdzie nie widać na szyldzie żyda, bo oni nie głupi pokazywać się przed światem, że są pijacy. Wolą tak chłopów prezentować.

Przeczytawszy słowo „sór“, pewny byłem, że tu można kupić owczego sera, „bór“ nie wiedziałem coby oznaczał, ale „palanka“ to nie by innego nie była, tylko owa szkodnica przepalanka, gorzałka. I to ostatnie tylko odgadłem!

W karczmie było pusto, tylko zdrowa i piękna słowaczka teremciła i klęła po polsku na swego syna.

Spostrzegłszy atoli księdza, zawstydziała się nieboga i zaczęła nas przepraszać.

Skorzystałem z okazji i zapytałem: co to znaczy ten „bór, sól i palanka“, i tu ci mi baba wyłożyła dokumentnie niby łopata, że bór to wino, sól to piwo, no a palanka, to sprawiedliwa gorzałka, jak się domyślałem.

Ponieważ już z domu umiałem po węgiersku „Nemtudu, i basam teremtete“, zatem przybyło mi jeszcze powyższe trzy słowa węgierskie i nimi uzbrojony, ruszałem dalej.

W Starej wsi, przezwanej po węgiersku Szepesófalú stanęliśmy momencik przed dość schludnym kościołem. Ucieszyłem się, widząc obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, którą M. Boska francuska z Lurd, coraz bardziej z ziem polskich ruguje.

Widać, że nie tylko ludzie, ale i obrazy choćby i najcudniejsze muszą na stare lata ustępować powoli, nowym.

Ha no trudno, narazie witaj święty obrazie! Tak bywa nie od wczoraj!

Mój sąsiad jegomość wpadł na moment do plebana tamtejszego, ale tak coś nie długo popasał, i tylko tyle mi powiedział, że to już nie polska plebanja.

Na domu „rychtarza“ czyli po naszymu wójta, powiewał sztandar czerwono-biało-zielony, z węgierskim herbem, jako, że to było świeżo po imieninach cesarza. Zawsze, co wójt, to wójt...

Ludzi snuło się po polach sporo, którzy siekli lub żęli zboża, wszystko z góralska ubrane, ale nie tak kuraśne, jak nasi gó-

rale. Pod wieczór stanęliśmy w Hanuszowcach, gdzie jest słynny ks. Krawec, dziekan, który dostawia wielu naszym jego mościom win do mszy św.

Ten nas zaprosił na skromną plebanijkę, a niebawem jego matuś wniosła sera owczego na zakąskę. Kobięcina ma lat przeszło 80, ale taka miła i czerstwa, jak się rzadko w tym wieku spotyka kobietę. I ona synowi gospodarzy samiuteńka.

Pocziwy księżyna, jak się rozgwarzył i rozjachmał, to i wina przyniósł, które ma swoje własne, tociem go ta i nie żałował, a to tem więcej, że nas do tego serdecznie molestował, a kosztować prosił.

Trudno, musiał się człek „ochwiarować“. Dowiedziałem się, że rodzina jego pochodziła z Polski i pisali się niegdyś Krawcami, ale pomału między słowakami przeinaaczył się Krawiec na Krawec i tak się pisze.

Trzymał stronę Tiszy, czemu się ja wcale nie dziwował, i wiele usłyszałem ciekawych rzeczy od niego.

Kościółek stary, silny, ale pozostawia wiele do życzenia.

Bibliotekę podziwiałem u ks. Dziekana, przeważnie w węgierskim i łacińskim języku, i to jak zauważyłem nie same dzieła religijne. Obrazy piękne na ścianie, a między nimi reprodukcja słynnego obrazu Munkaczego, przybycie Arpada*).

*) Arpad, wódz Madjarów, coś jak nasz Lech lub Krakus.

Pożegnaliśmy pięknie gościnnego kapłana i ruszyliśmy już zmierzchaniem ku wysokiej górze, którą tu lud zowie Magórą. Że to było ciężko na lichą szkapinę góralską, szliśmy pieszo, gdzie mi ksiądz towarzyszył opowiadał, różne zdarzenia księże z swej djecezji przemyskiej, co nam czas skracało.

Późno już w nocy dobiliśmy do słowiańskiej wsi czyli po węgiersku Totfalú, gdzieśmy się na świeżem sianku znakomicie wywczasowali.

Kościółów tu jest dwa, jeden starszy, ale przyzwoicie utrzymany, drugi nowszy luterski. Ludziska się nam przyglądali ciekawie, a na każde pytanie odpowiadali, stereotypowe góralskie: „hej“, co jest i u naszych starych górali w modzie.

Widocznie że to: „hej“ było w modzie w Polsce, boć i w kolendach go użyto parę razy i dziś kolendujemy „hej nam hej“.

Najawwszy innego woźnicę, dążyliśmy prześliczną okolicą, ku Bialskim Skałom. Jak okiem ujrzeć, legła piękna dolina, na której to zboża, to ciemne lasy młode się zieleniły, aż koło 9 rano stanęliśmy u celu, przy Skałach Bialskich.

W pięknej kaplicy odprawiała się msza św. i było na niej sporo inteligencji, żandarmów i trocha prostych słowaków. Kobiety tutejsze lubują się jak i nasze w pstrokatych strojach, junacy wiejscy w koszulach z szerokimi rękawami, serdakach, pasem

z mosiężnemi sprzączkami przepasani szli na mszę św. Twarze nie bardzo mądre, ale miłe.

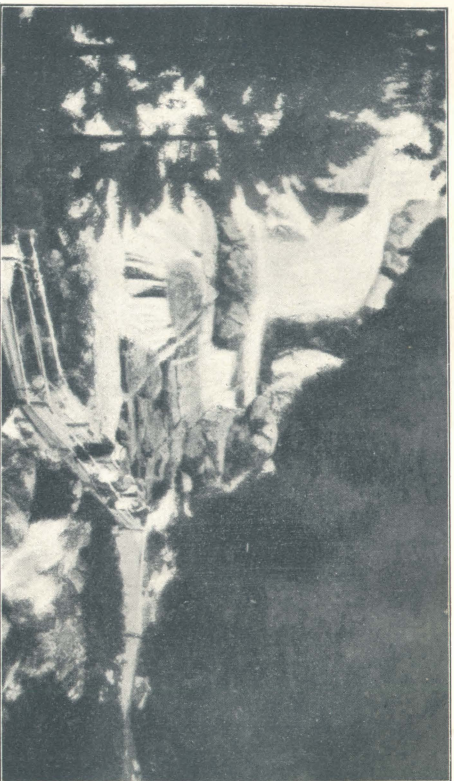
Doskonały gościniec idzie środkiem, wzdłuż niego, wśród wysokich smreków śliczne wille, a wkoło nich bogaci letnicy i hoże letniczki spacerowały, używając wywczasu, że to hej! Język słysząc niestety węgierski, lub niemiecki, a tylko biedni górale trzymają się słowiańskiego. Ład i czystość bez zarzutu, a hotele restauracje, to można im mówić przez „Wy“.

Ku południowi zagaściło się ludźmi i razem z nimi ruszyliśmy na górę, zwaną „kobyli wierch“, aby zwiedzić słynne od niedawna grotty.

Góra ta, obrosła górnymi świerkami, ma wysokości 3470 stóp, czyli 1097 metrów, więc jestto, jak na nasze nogi, spory pagórek. Idzie się bokiem góry spory kawałek, nim się dojdzie do szaleśu, dokąd się cała wycieczka gromadzi. Przewodnik idzie naprzód w grocie, która jest oświetlona elektryką, a na wszelki wypadek ma paczkę świec i druty magnezjowe. Chłop to czystej krwi Polak, bo nawet nazwisko jego Lizak Józef to poświadcza — a dużo przypominał mi ukochanego Kubusia Orawca z Poronina. Kieby mu z oka wypadł.

Mówi płynnie dość po polsku, węgiersku i po niemiecku, a mieszka w wiosce Lendaku.

Jak ta grota wygląda, tego Wam naj-



Wodospad Zimnej wody (Kolbach)



Grota Bialska

lepszy pismak by nie opisał, a cóż ja prosty chłopina?

Ale choć parę słów muszę o niej powiedzieć:

— Wchodzi się prosto w wnętrze góry, tak zwaną Dziką Jamą, po deskach, dość długi kawał, aż się dojdzie do jamy, co się zwie Głębia. Tu się dzielią drogi, jedną idą ci, co dopiero chcą zwiedzić grocie, a drugą, którzy z niej wyjść mają. Jedna grotka zwie się śpiewalnią, bo echo się w niej rozlega, a pokazują i djabłą dziurę. Po drodze stoi niby kamień, a zwa go po uczonemu stalagmitem, który wygląda niby łeb w hełmie. To się zowie hełm Arpada. Inna grotka zwie się Kalksztajna grotą. W innej widać niby kaplicę, chrzcielnicę i kropielnicę, to znowu niby cmentarz z pomnikami, to znowu niby krzywa wieża, to znowu Kalwarja, pasterze betlejemscy, jak ich w szopce przedstawiają.

W innem miejscu widać niby jak lwa, to znowu jak bałwany morskie, gdziein-dziej klęczy niby dziaduś pustelnik, tu ci pokazuje przewodnik pokoik, gdzie niby Rusałki i boginki się bawią, a nareszcie i organki.

Wszystko to wytwór bożej natury! Taka ciecz spływała wiekami z gór, twardniała, niby sople lodu u strzechy, i z tego potworzyły się takie cudaczne dziury, że się im napatrzeć nie można, zwłaszcza, gdy przewodzeń oświeci je światłem kolorowem, magnezjowem.

A one sople zwane stalaktytami są twarde i gdy w nie uderzysz, to ci wydają dźwięk, który echo daleko hen po grocie roznosi.

A gdy uderzy w szereg sopli, zwanemi organki, to wygra na nich nutę lepiej niż byle jaki dławiduda w kościele na lichych organach, choć go parafji, jak mówią, sam Pan Bóg przysłał.

Człowiek patrząc na te cuda natury mimowolnie szepcze za Kochanowskim:

Wszehmocny Boże, Wiekowisty Boże,
Któż się Twym sprawom wydziwować może,
Kto rozumowi, którym niezmierna
Ziemia stworzona!“

Oglądałem niegdyś z podziwem kopalnie wielickie, owe cuda, jakich chyba nie wiele mamy w świecie, ale tu mi się te groty wydawały cudniejsze. Pierwsze zrobił człowiek, te natura, Bóg. A nie myślcie kochani czytelnicy, że to byle jaka jaskinia. Tam i napowrót trzeba nią idąc zrobić 3 i pół kilometra drogi, trzeba przejść 2300 stopni, a wychodzi się w górę na 118 metrów wysoko.

Co to za kryjówka dla zbójników i ludzi chcących się ukryć, ktoby ich tu odszukał? Ależ ktoby się był spodziewał, że w tej górze są takie skarby, którychby za miljardy może nikt nie zrobił. Wieki minęły, a o nich było cichutko.

I co powiecie, że o tych cudach dopiero się niedawno świat dowiedział, bo w roku

1881, a więc za naszych czasów kawalerskich. Mieszczanie z miasta Biały (po węgiersku Bela) panowie: Juljusz Hus, Jan Britz, August Kalkstein i Emeryk Werbowski (Polak widno), pierwsi ją wymacali i zwiedzili. Myślę, że odkrywszy ją pewni byli, że tu coś i skarbów znajdą po jakich zbójach, ale czy znaleźli ślady z pobytu ludzkiego tutaj, nie wiedzieć.

Dwie i pół godziny zeszło nam, zanim ujrzelśmy z radością piękny świat i boże słońeczko.

Do góry, tam w grocie idąc, idzie się dość śmiało i bezpiecznie, powrót jest po kruchych schodach i drabinkach nie bardzo wygodny, ale goście na to nic nie zważają.

Szczególnie młode parki, które zawsze mają interes zostać często na ostatku, śnać dla podziwu cudów tej groty — a możeby i całuska oberwać — chodzą tu jak po sali.

Wyszedłszy ubłoconym, jak się patrzy, każdy w szafasie czyści ubranie i myje się do czysta, a już każdy chyba nie żałuje tych paru szóstek i tego trudu.

I takie cuda są w naszym niegdyś polskim kraju, a iluż rodaków zamożniejszych je zna, lub wie o nich? He?

— A któż was nauczył tak ładnie po polsku mówić? — pytam przewodnika p. Lizaka.

— Prosem piknie, a dyć żona, która pochodzi z Polski. Umiała trochę czytać, ale tu omal nie zapomniała, dopiero, jak tu był p. profesor Łukaszewicz ze Lwowa, poznał

się z nami, a potem ze Lwowa przysłał nam tu książek do nabożeństwa polskich i teraz wszystkie dzieci i my pochwytali polskiego. Godny pan, hej!

Ot, co zrobi jeden człek mądry, podając bratu młodszemu sposób jak ze Słowaka zostać Polakiem. Lecz czy dużo tak lub podobnie robiło, czy robi?

Słyszę, że „Gazeta Podhalańska“, którą wydaje dzielny człek Gwiżdż, zachodzi do braci na Spiżu. — A Boże jej w tym pomóż...

Ućmakawszy się tak po tych wspaniałych przypuśnicach w górze, poszliśmy na obiad do pysznej restauracji. Jadłospisy po niemiecku i węgiersku, i ze zdumieniem dowiedziałem się, że ryba po węgiersku Halak się pisze, którą to nazwę nosi szanowny mój ksiądz pleban w Gremboszowie, a na anyżówkę po węgiersku „meres“ wołają. A u nas meresić, to znaczy gniesć kogoś czyli tłoczyć. No i bądź tu mądry z węgierskim jęzorem!

Posiliwszy się chylo tylo, odpocząwszy w cieniu wspaniałych smreków, ruszyliśmy z sz. towarzyszem wśród najśliczniejszej pogody ku Szmeksowi, który Węgrzy nazywają „Tatra füred“.

Obie te nazwy słowiańskie nie są.

Oczywiście, że Szmeks nie dla takich bogaczy jakim był ksiądz, i ja. Hotele wspaniałe, ceny żywobycia wysokie, to też tylko pochodziliśmy nieco po czystych ścieżynkach,

aby się coś niecoś rozejrzeć po miejscowości, a także po spacerujących letnikach. Wszystko widać ludzie bogaci, obwieszeni brylantami, ale słyszy się tylko niemieckie „śwar, śwar“ i węgierskie „kerem“ (proszę).

To też wzięliśmy nożeta zapas i udaliśmy się do doliny Zimnej wody, gdzie są wspaniałe wodospady, a miejscowość ta pisze się po szwabsku Kolbach.

Przybywszy tam, mimowolnie wyrwał mi się okrzyk: „O raju boski!“, którym się stale posługuje jeden z mych sz. koleżków sejmowych.

Cóż tu bowiem za cuda boże, co tu za widoki! Spojrzysz w górę, a tam ci stoją wielgachne góry pionowo ścięte, niby mury potężnego starego zamczyska, a tu i ówdzie sterczy uwieszona drzewinka zielona. Spojrzysz w drugą stronę, a tu kamień na kamieniu, niby bochny chleba gładziutko obrobione, i całkiem do bocheneczka chleba podobne. Tu i ówdzie legła od starości niebotyczna jodła i pruchnieje ot tak spokojnie, że tylko szkielet jej już został.

Mozolnie zrobiona dróżyna pełna podróżnych, którzy spieszą w to przemile ustronie, aby się nacudować i niezwykłą okolicą i wspaniałymi widokami.

O! nie dziwię się ludziom, że w górach szukają wytchnienia po pracy, że na łonie matki natury szukają ukojenia w troskach tego przykrego żywota, i że wcale ich od gór nie odstrasza nawet i takie zdarzenia,

że ten i ów karku nadłamię, a nawet i śmierci się napyta.

Tu człek zrozumie, dlaczego P. Bóg dając Żydom 10-ro przykazań obrał na na to górę Synaj, albo dlaczego Zbawiciel, chcąc pokazać apostołom swoją wielemożność, wybrał na ten cel wysoką górę Tabor, a wstępując do nieba, uczynił to z wysokiej góry Oliwnej.

Sama góra potężna, robi niezwykle widok na każdym człowieku, a cóż się musiało widzieć izraelskim wędrowcom, gdy z góry Synaj zrobiło się z grzmotów niezwykle hu, hu, hu, a artylerja niebieska zaczęła rżnać po swojemu! A w górach burze z grzmotem i piorunami są o wiele potężniejsze niż na dołach i nie każdy je dziś nawet wita z przyjemnością.

Jest to już w naturze ludzkiej, że ma pociąg do górnieszych miejsc, to też ludzie budowali zamki i grody na wzgórzach i najpiękniejsze nasze Polski miasta jak Sandomierz, Warszawa, Płock i inne na wzgórzach budowano, albo choćby i nasz piękny Wawel. To też i poeta wzywa nas w pieśni „tam w górę, tam w górę, spoglądaj do Nieba“. A choć to tam mądry Salomon, rzuca w swych pismach, dość ciekawe pytanie mówiąc: „Kto z was widział, ażali duch człowieczy idzie do góry, a duch zwierzęcy w dół“, to jednak cała ludzkość widziała i widzi lepsze życie w górze a nie w dole. Patrząc na te śliczne pagóry i te wodospady szumiące, człek ja-

koś maleje, do małego chrobaczka, i mimo woli pyta się sam siebie: cóż ja wobec tego tworu za mały... cóż ja znaczę?

A jednak, przychodzi mu na myśl, że pojedynczo człek dość słaby ale złączony rozumnie w gromadę, gdy się zabierze do pracy, to przewierci tę srogą górę robiąc tunel dla kolei, albo dynamitem rozbija w pył skały morskie, a temu straszemu piorunowi kładzie hamulec na jego siłę, i każe mu gadać, albo krocie mil pędzić z słowem człowieka według potrzeby. Jest nadzieja, że niedługo siła piorunowa będzie nam musiała żur i ziemniaki gotować, a więc chwala Bogu, bo i człowiek ma coś do gadania.

Takie i tym podobne bałabańce snuły mi się po łysej pałce, gdym koleją jechał do Łuczywny, gdzieśmy mieli nocować.

Tu już była ćma różnych letników, i rzutkich letniczek, a słyhać było gęsciej i naszą kochaną polską mowę.

Stąd zrobiliśmy miłą wycieczkę do jeziora Szczyrbskiego, które ma 34 morgi, a wygląda na oko, niby nasz sławny grembozowski „Kobylec“ pod kościołem.

U Popradzkich stawów oglądałem ciekawy pamiętnik, albo notatnik, w którym podróżnicy zapisują swe uwagi, a ten i ów jakiś rysuneczek nagryzmoli.

Ale co prawda to prawda, że te włóczęgi po górach wyrabiają w człeku wilczy apetyt. Dopieroś niby żywota podreperował,

a już czujesz chodzącą procesję, i przykro ci, że już „Maciuś mruczy“, bo tu człeka kieszeni nie żałują.

Zajrzeliśmy do kaletek, i obaj z księżym, spojrzeliśmy na siebie dość miłośniernie, to też zaraz drapnęliśmy w drogę do miasta Kiezmarku, bo kaletki nasze nie zbyt pękate, złacniały sporo, niby ta krasula, gdy ją trokarem przy wzdęciu przebija.

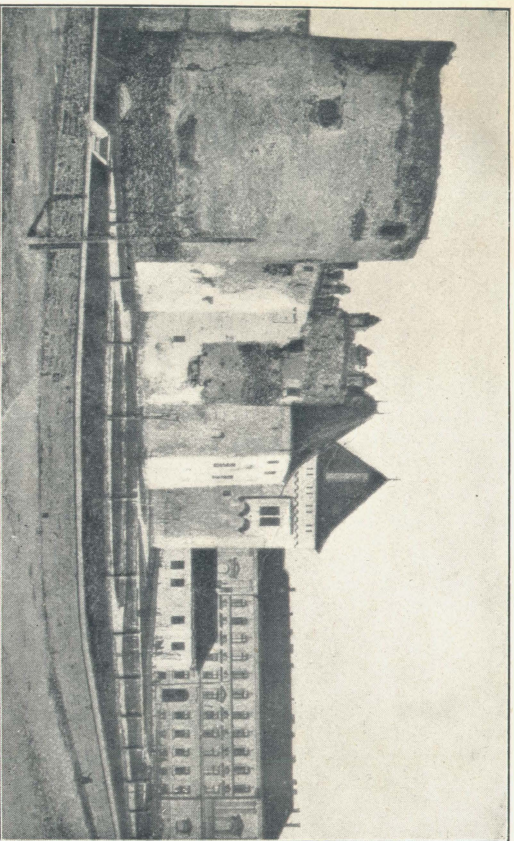
Wjeżdżając do Kiezmarku, wspomniałem, że tu bywał i nasz Jagiełło w swoim czasie, ale zgóry byłem przekonany, że tu mi nic Polskich czasów nie przypomni.

Kiezmark zdala już nie byle jako się przedstawia. Legł nad wartkim Popradem, w którym mnóstwo dziewcząt, prało bieliznę, gdym most przezeń rzucony mijał.

Zdala mię już wabiły do siebie wieże kościoła katolickiego, ratusza, i nowo zbudowanego zboru lutereckiego.

Kościół zbudowany ponoś w r. 1486, jest więc nie dzisiejszy, i przedstawia się zewnątrz okazale. O, bo dawniej ludzie budowali wszystko na moc, a nie na tandetę, a cóż dopiero taką bazylikę, a cóż dopiero że to budował taki naród katolicki niegdyś, jakim byli Węgrzy, których król ma dotąd tytuł „Apostolski“. Naród, który bijąc na pieniądzach wizerunek Maryi Panny, zwał ją tamże „Patronką Węgier“ (Patrona Hungarie).

Porównajmy starą budowę kościoła z dzisiejszą. Jaka tam cegła, jaka zaprawa murarska t. j. wapno, jaka moc, jaka siła.



Ruiny zamku Tökölego

A dziś Boże odpuść, cegła jak rzepa, za rok się rozpada w gruz, a wapno jak bryndza, tak trzymają cegłę, jak umarły ręką. Dziś wszystko się buduje prędko „łapas capas“. Narobią zewnątrz różnych wieżyczek, krzyżyków, a często jeszcze nie skończona budowa a już się mury rysują, a nawet często walą robotnikom na głowę. Jacy ludzie, taka budowa.

Za przewodnika po świątyni dano nam starszą, silną jakąś matusię, która знаła nie źle historję obrazów ołtarzy, i opowiadała nam ją w niemieckim języku. Wspaniałe ołtarze mieszczą w sobie piękne obrazy, na których autorzy wyraźnie podpisali swe nazwy. Mimo, że jak pamiętam, wymalowano na nich rok 1520 i 1591, wyglądają jakby wczoraj malowane i robią na widzu niezwykle wrażenie.

O, bo malowidło przemawia nieraz silniej do duszy człowieka, niż najbardziej piorunujące słowa upoconego kaznodzieji. Starzy malarze umieli wlać w swe obrazy tyle duszy, tyle mocy i słodyczy anielskiej, że dzisiejsi, szczególnie religijni, malują nam baby, kupców, żydówki, kramarzy, ale widz nie może w nich widzieć świętych wybrańców. W Ostrowsku za Wisłą, widziałem jednak św. Izydora, od którego z żoną oczu oderwać nie mogliśmy, i pytaliśmy siebie, czemuż nam takiego nie wymalowano. Na chrzcielnicy z podziwem odczytałem rok 1466,

a więc zrobiono tę świętą „sadzawkę“ dwadzieścia dwa lata później, gdy w interesie sprawy węgierskiej poległ śmiercią walecznych młody Władysław, król polski i węgierski z ręki Turczyna. Złamać przysięgę, miał go kto namówić, ale pomocy nie miał mu kto dać w krytycznej chwili i tak zeszedł ze świata pan, który rokował najświetniejsze nadzieje na przyszłość dla Polski.

Wtedy, kiedy artysta pracował nad tą wspaniałą chrzcielnicą, może jeszcze Polacy ludzili się nadzieją, że król ukochany żyje w niewoli, że pokutuje za złamaną przysięgę, atoli mogiła Warneńska dawno się już trawą po nim pokryła. Wyglądał go lud tak, jak dziś Rudolfa. A Węgrzy cóż nam za niego dali? Oto duszą bez litości garść naszych pobratymców Słowaków i o poświęceniu Warneńczyka, a później Sobieskiego i Bema, nie chce tam nikt już słuchać!

Tak myślałem idąc do chrzcielnicy, ku starożytnym ławom senatorskim, artystycznie wykonanym w r. 1815, jak wyryty napis głosi.

Niepośledniej wartości jest także i pajak, wykonany przez Zacharyasza Gutsschmitla w r. 1664, jak mogłem odczytać.

Mamy i my dość pięknych pamiątek po naszych świątyniach, ale ileż ich przez łakomstwo, niedbałość czyli przez zapoznanie zniszczono. Ile w tym winy rządców kościoła, a ileż ręki barbarzyńskiej!... Nie

było czasu na dokładniejsze obejrzenie tego prawdziwie pięknego kościoła, toż z żalem go opuściłem.

Obrotna przewodniczka prowadziła mię miastem, ku zamkowi pana, który się nazywał Tekely, (Tököly) a który żył za tych czasów, kiedy nasz dzielny król Sobek bił okrutnych na tedy Turków.

Był to człek rycerski nie lada, a miał za żonę córkę też dzielnego wojownika Zrynyego, który poległ w bohaterskim boju, broniąc zamku Sygietu.

Ten pan Tekeli nie lubił Austrjaków, i widzi Bóg święty, że ich nie było za co kochać. W r. 1683, zamiast bronić cesarza austrijackiego, on stanął nawet pod Wiedniem razem z Turkami, przeciw Austrii.

Ale chudaczek się przerachował, boć nie wiedział, co znaczy król Sobieski a co jego wojaki skrzydlate.

Mimo to trzymał się uparcie Turków i gdzieś w Małej Azji zakończył niespokojne życie. Kobieta jego miała także w sobie rycerskiego ducha i piszą o niej księgi, że nie źle dowodziła wojskami, i biła się jak lew. Otóż nasza przewodniczka prowadziła mię do zamku tego pana Tekelego, którego pamięć czci naród węgierski jak bohatera. Zamek ten nie duży stoi za miastem prawie w całości. W dawnych mieszkaniach zamkowych urządzono jakąś szkołę, a kaplica też jest należycie zachowana.

Na bramie wchodowej napis na tablicy

głosi, że ten zamek wystawił Stefan Tököli w r. 1628.

Na ołtarzu widać obraz wspaniały, wyszyty dłonią tej pani, która nie tylko umiała władać znakomicie orężem, ale ku czci bożej wypracowała artystyczny obrus, który dotąd świadczy pięknie o swej autorce.

Na ścianie umieszczono pomnik Wildburga lejtnanta austr., który w r. 1866, poległ od 3 kul pruskich pod Królowodworem, (Königrätzem), „idąc na czele swego pułku odważnie“, jak napis głosi.

Nie wiem, czy się dotąd odprawia nabożeństwo, ale wątpię.

Jest tu jeszcze ciekawe siedzenie dla księdza, czy dla pana zamku, jakiego dotąd nigdzie nie widziałem.

Ratusza zwiedzić nie mogłem i chodziłem nieco po mieście, gdy nas zaczepił zakrystjan zboru luterskiego, pytając, czybym tej budowy nie chciał obejrzeć. Rozumie się, że ten monumentalny gmach zainteresował mię, toć wszedłem doń.

Ogromna ta budowa, wewnątrz wygląda bardzo pojedynczo. Pełna ławek, a presbyterjum prawie wyżej niż metr wyniesione od nawy i trza wysoko doń wychodzić po schodach.

Ściany puste, a tylko w ołtarzu Chrystus na krzyżu bardzo przedniej roboty.

Zresztą pusto i głucho.

Po prawej stronie zboru jest rodzaj kaplicy, w której w bogatej marmurowej trum-

nie są prochy tego Tekelego, cośmy jego zamek zwiedzali.

Cóż to za wspaniałe cacusio!

Już front tej kapliczki, a dobrze mówiąc grobowca, nie zwykle się prezentuje.

Dwóch rycerzy stoi w niszach kamiennych w strojach węgierskich, a na szczycie herb Tekielego. Trumna z białego marmuru a nad nią u stropu wisi sztandar wojenny tego pana, który razem z nim był w tylu bojach.

Patrząc na ten strzep, z bólem wspominałem że też z krzyżackich chorągwi, z pod Grunwaldu ani jedna nie ocalała, a tyle ich też było! A na dobitek, ten relikwiarz, który zdjęto z poległego mistrza Krzyżaków, który był w ręku polskiego biskupa, dostał się darem pruskiemu królowi w naszych czasach, aby i śladu nie mieli Polacy z tak pięknej chwili... Naszemu największemu wrogowi, i to kto?... Ej mój Boże, mój Boże! Ty widzisz!... Ale dosyć tego, idźmy dalej.

Ponieważ Tekieli, jak się wyżej pisało, umarł w małej Azji, toć ponoć przed 7 laty Węgrzy sprowadzili prochy jego, i zrobili mu taki miły kącik, że nasz kochany Kościuszko lub nasi królowie, nie mogą się takim poszczycić. Na ścianie wykuto postać jego, a żałuję że „Przyjaciół” nie daje rycin, bo to co opisuję mam w widokówkach, a podobałyby się czytelnikom, boć to galante widoczki.

Ściany ustrojone w pyszne wieńce z wstę-

gami, a w jednej ścianie wmurowano i ten kamień, który był na grobie Tekielego w Azji.

Praktyczne Madziary, umieścili w tym grobowcu księgę, w której się podpisują zwiedzający, a więc się człek także tam pode-rzwał.

Po drodze zwiedziliśmy i stary drewniany zbór, który naprawdę wart zwiedzenia. Budowa ta nie ma powały żadnej a tylko ściany dachu, ciekawie go zastępują.

Dawni wyznawcy tego wyznania legli pokotem przy ołtarzu, jak widać z kamieni nagrobnych. Coś podobnie jak Ormianie we Lwowie przy kościele.

Chrzcielnica stoi tuż przy pomnikach z r. 1690, a na misie miedzianej, w niej umieszczonej, jest data 1768.

Zakrystja maciupenka, niziutka, też jest niezwykle interesująca. Pokazują w niej cisową, długą ławę, która jest z ostatniego cisu, w tym lesie, który był tu, gdzie ten zbór stoi. Ma coś 5 metrów, a wygląda jakby ze skamieniałego drzewa. Ława ta, prosty okrajek, ma 4 nogi, jak nasze chłopskie starodawne ławy, a tak ciężka, że ja le-dwo do góry ulżył. W tym lesie, bywały niegdyś i jelenie. Gdy padł ostatni, z ro-gów jego zrobiono świecznik, który też tu pokazują.

Na ścianie widać portrety różnych dobro-dzieji zboru, fundatora, i torbeczkę z dzwon-kiem, w który ofiary składano, a na torebecce



Tököly

wyszyty rok 1695. Nie wiem czy jest gdzie starsza jałmużnica.

Tuż przy tym ciekawym zborze jest budynek w którym ponoś była szkoła wyższa(?) w której dziś hotel się ma mieścić.

Gimnazjum nowe jest opodal zbudowane, a na starym też ponoś gimnazjum umieszczony wiele mówiący napis: „Co przeszłość zbudowała, potomność szanuje“.

Czy ten napis nie uczy, aby to, co starzy dobrego zbudowali, potomni otaczali szacunkiem? Niestety, ileż to w Polsce pruchniejąca potomność zniszczyła pamiątek, lub jelekkomyślnie zakatrupiła w cudze ręce?

Na nas chłopach nie może w tym względzie nic być winy, bo nasi Ojcowie, prócz tej św. ziemi, poczciwych nazwisk, prócz tego paciorka, i tej końskiej wytrwałości do pracy nic nam nie pokazali, coby było godne zachowania potomności. Nie mieliśmy w przeszłości murowanych dworców ale nędzne lepianki, nie mieliśmy broni, nie znaliśmy co malowidło, co piękno, przeszłość chłopska bardzo mało zostawiła rzeczy do poszanowania.

Widły, cepy, motyki i łopaty, toć je każdy trzyma dotąd silnie. Ziemia, przykupiliśmy jej od tych, co jej nie kochali, i nie wiedzieli, co mają. Pacierze, dziś odpowiadamy na pytanie, nie jak starzy nasi przodkowie że jest Bogów 3-ch albo dziesięciu, a gdy chodzi, by odpowiedzieć, kto nas stworzył, nie mówimy, że „Patalita Jadom“.

Kołtuny, zabobony, a dzięki Bogu i to zgubne pijaństwo trudno było przyszłości zostawiać. Tak sobie sam z sobą w sercu bandurząc, ani się opatrzyłem, jak mię kolej unosi ku Podolińcowi. Siedziała z nami paczusia słowackiego ludku, którzy sobie gwarzyli po swojemu.

Zwróciła moją uwagę młoda para powracająca z Ameryki do ojczystego gniazdeczka z małym narybkim, na którego młoda i przyscipna matuś spoglądała z niewypowiedzianą słodyczą i rozkoszą macierzyńską.

Pewnie wyjechała panną bez grosza, a dziś powraca z dużym kufrem, różnych nieznanych drobiazgów na Spiżu w chłopskiej chacie, dolarów w kalecie nie mało, a obok mąż patrzy w nią, niby sroka w kość, no a ten berbeć na jej rękę, to nic? Mały wisus nie był widać głodny, toć bawił się raczej jej pełną, krągłą piersią i rzucał ciekawe spojrzenia w koło, jakby się chciał pytać, a macie wy taką piękną i kochającą matusię?

Zagadałem z wracającym chłopkiem nieco i przekonałem się, że lepiej mówi niż jego sąsiedzi, co tylko nie po polsku? Nie dziw, robił z naszymi w Ludłów.

A gdzież się wam lepiej widzi, tu czy tam, pytam go. Hej! tam wszystko inaczej. Tam kraj wolny, wszyscy równi, księdzu mówi się ty a ty, a u nas ksiądz, to pan wielgomożny, hej! (dosłownie).

W późny wieczór dobiłem do słynnego Podolińca i martwiłem się o nocleg. Aliści napotuchnęło mi się pod rękę paru szykowych chłopaczków, którzy mię zaprowadzili do hotelu, który przerobiono z księzego niegdyś domostwa, i tam się jedwabnie wyśpałem po podróży, niby cztery dziewczki.

Wstawszy z rana wyszedłem na miasto, którego ludziska spali jeszcze, ot jak mieszczactwo.

Stara to polska osada, bo już w r. 1244 Bolesław Wstydlivy pozwoił wójtowi tujszemu, aby za to, że dobrze się uwijał w bitwie z Tatarami, założył miasto na prawie magdeburskiem, i z wsi Podół urosło miasto Podoliniec. Żona jego Kunegunda też o nim nie zapomniała, toż samo Kazimierz Jagiellończyk i inni.

Stanisław Lubomirski, wojewoda krakowski a starosta Spizki, wyfundował dla księży Pijarów wielki zakład, czyli jak piszą, Kollegjum w r. 1642. Gmach ten ogrodzony murem, stoi do dziś dnia, ale z Pijarów nie ma ani śladu. Klasztor z ozdobnemi wieżami miłe robi wrażenie, a srebrny głosik dzwonka miłe się po ślicznej okolicy rozchodzi.

Na zachód od Kollegjum stoi dom dosyć ochędożony a ujrawszy na nim jakąś tablicę skierowałem kroki ku niemu.

Jest tam napisano po łacinie, że dom ten zbudował w r. 1593 Sebastjan Lubomirski. Kto dziś w nim się gnieździ, nie wiem.

Jadąc ku kościołowi, posłyszałem ciekawą muzykę. Pędzono najprzód gromadę „jałownika“ na paszę, a później same krowy. Bydło to, mając dzwonki u szyi, czyniło tę niezwykłą muzykę. Pasterze, chłopcy setne szli za stadem, dmąc w drewniane, długie piszczałki, wytrębywali na nich jakieś sygnały. To był znak, aby bydło wyganiać. Piszczały te były krzywe. Czy to może są owe „krzywule“ o których czytaj w Sienkiewiczu?

Nareszcie otwarto i kościół po Pijarski. W wielkim ołtarzu, przepiękny obraz z r. 1688, przedstawiający wskrzeszenie historycznego Piotrowiny.

Ubiorzy ówczesnych Polaków są bardzo dobrze oddane, twarze i mina iście polskie.

Mała uwaga; na co moskale pozwolą za Wisłą, to już na wymalowanie w kościele Bolesława Śmiałego, jak rąbie biskupa.

Lud mało zna historję i pewno sądzi, że polscy królowie nic więcej dobrego nie robili, tylko rąbali biskupów.

Nad głównymi drzwiami jest dobrze zachowany napis po łacinie, mniej więcej w ten sens: „Stanisław książę Lubomirski, hrabia na Wiśniczu i Jarosławiu, Wojewoda i Starosta Krakowski, Spiski, Niepołomicki i Dobczycki. Naczelny dowódca Małopolski i dowódca szczególnie w roku 1621, podczas świętej wojny pod Chocimem przeciwko 300.000 Turków zagrażających Polsce i całemu Chrześcijaństwu. Naczelny

dowódca, zwycięzca sławny, był posłem do Ferdynanda III, cesarza. Fundator wielu zamków i świątyń, a także i tego Podolińskiego Kollegjum Pijarów, które istnieje od r. 1642. Umarł na Wiśniczu 16 czerwca 1649 roku“.

Na kurytarzach obszernych mnóstwo obrazów różnej treści, a więc cuda św. Józefa Kalasantego, podobizny papieży i wybitniejszych Ojców Pijarów. Z pomiędzy wielu zauważyłem Wojciecha Świejkowskiego z r. 1693, Vincesława Opatowskiego z r. 1680 Wacława i Dominika Zawadzkich z r. 1715 i 1724, Stan. Hieronima Konarskiego z r. 1773, pod którym napis głosi, że to był „maż prawdziwy“ (vir verus) i wiele innych.

Cele jasne, suche, mury prawie forteczne. Dziś tu mieszka jeden, jedyny ksiądz Węgier, i coś jego czeladzi, dwie miłe Słowaczki, a główna gospodyni, to już nie wiem, jaki ma język.

Krewny księdza odemknął mi salę, gdzie się mieści księgozbiór uczonych i zasłużonych w Polsce i na Spizu mnichów. Całe szafy, aż po sufit, pełne ksiąg i rękopisów dobrze oprawnych, ale ponoś przeważnie łacińskie, greckie i t. p. Polskich nie zauważyłem.

Kollegjum to ważne dla nas nie tylko dla tego, że jest dziełem pobożnego magnata polskiego, ale że tutaj wielu znanych nam kapłanów, kształciło się na kapłanów. Któż nie znał ze starszych ukochanego księ-

dza ś. p. Stanisława Morgensterna, proboszcza odporyszowskiego i pierwszego posła do sejmu z powiatu dąbrowskiego. Albo księdza M. Króla infułata albo ks. Ruczkę, Pabiena i wielu innych?

Nie musiało to być seminarjum liche, kiedy takiej miary kapłanów wychowało, jakich teraz bardzo trudno znaleźć...

Są tu jeszcze sprzęty zamku starego. Do muru jednej ściany dodano mały przyczółek i urządzono areszta.

Nie spodziewał się hetman Lubomirski, że jego fundacja w Podolińcu, nie rodakom będzie służyć na pożytek, a druga w Wiśniczu, jakby na hańbę mieścić będzie zbrodniarzy. I że do świątyni, w której jego popioły zasłużone złożono, nie wolno wejść komu innemu, jak tylko kryminalistom. Ot los polskich fundacji.

Pijarzy mają w Węgrzech 25 seminarjów, bo słynny cesarz Józef II tutaj tak klasztorów i kościołów nie obłupił z majątków, jak u nas w Galicji. Owszem, ponoś im jeszcze coś dodał.

Biskup Spizki ma mieć kolosalne dochody, że nasi wyglądają przy nim mają dość mizernie.

Pchało mię jeszcze i na Lubowlę, ale cztery dni włóczęgi dla mnie chłopca, w czasie roboczym, to za dużo.

To też pożegnałem Podoliniec i ruszyłem ku chałupie na Rychwałd.

Właśnie tamże trafiłem na pogrzeb ma-

łego Słowaczka i udałem się na cmentarz. Garść ludu ubożuchnego towarzyszyła orszakowi pogrzebowemu.

Gdy ksiądz odprawił modły przepisane po łacinie, ukląkł przy małej mogiłce i z ludem śpiewał taką pieśń po słowacku:

„Už ides do hrobu
 Smutneho tmaveho¹⁾
 Unom buleš spociwac
 Do dna sudneho.
 Venc sa tu w hrab skladas,
 Opustas svet casny
 Nekdy z hrobu vstanes
 Jako kvet prekasny.
 Krason two oblubil
 Pan Jezus Syn Bozi
 Ta do nebeskaho
 Raja te polozi...

Wiem, że szanowny czytelnik nie potrzebuje, abym mu tę pieśń tłómaczył na polskie, boć to jasne jak słońce.

Mnie zdziwiło niepomrotnie, że ta pieśń śpiewana była akurat na tą sama nutę, na jaką u nas w Polsce śpiewa lud nasz pieśń przy pogrzebie: „Już idę do grobu smutnego, ciemnego“ itd., a nawet te same słowa mamy pierwszej zwrotki.

Czegóż to dowodzi?

A to, żeśmy byli i są jednej matki dziećmi a tylko mała różnica języka między nami, która nic nie znaczy, znaczy to żeśmy bracia, których sztucznie oddzielono od pnia

¹⁾ ćmanego = ciemnego.

macierzystego, i z jednych chcieli zrobić szwabów, ale się sztuka nie udała, a drugich chcą przekuć no Madziarów, ale i to się da Bóg nie uda.

Kościółeczek w Rychwałdzie bardzo ubożuchno się przedstawia. Parafianie ubodzy górale, nie mogli się na coś piękniejszego zdobyć, ale czyż Bóg, Pan świata całego wymaga przepychu i błyskotek? Albo czyż nie z większym skupieniem ducha modli się człek w maciupieńkiej wiejskiej świątyni niż w najwspanialszych bazylikach? W przed-sionku kościółka złożono katafalk a przy nim trumnę, używaną do żałobnych nabożeństw, na której czytam napis: „Spomni clowece, że si prach“ (Pomnij człowiecze, żeś jest proch).

Nad tęczą napisano: „Požehnany, ktorý prichadza v mene Panovom“ (Błogosławiony, który przychodzi w imię pańskie). Widzimy z mowy Słowaków, że mówią tak, jak my pisali za czasów Jagielly, jak była śpiewana owa sławna najstarsza pieśń polska „Boga Rodzica“. Nasz język w polsce wyrabiał się coraz lepiej, aż doszedł do tego stanu jaki dziś mamy, a Węgrzy naturalnie nie dbali, jakim językiem mówią Słowacy, wpychał im raczej swój madziarski, i ztąd różnica.

Biedacy bronią się jak mogą i da Bóg, że sobie dadzą radę, ale mowa ich jest dziś taka, jaką mówił i pisał pewnikiem lud cały w Polsce za czasów Jagiellonów.

Na południowej ścianie świątyni jest

zgrabna tablica nagrobna, na której napisano że: „tu odpociva Michal Osupka, który zesnul w Kristu Panu i t. d.“, a niżej wykuta dosyć zgrabnie, świeca w lichtarzu na poły złamana.

Doprawdy, że niemożna lepiej wyobrazić życia zgasłego człeka w młodym wieku, jak właśnie oddano w tej świecy.

Idąc z cmentarza próbowałem wejść do którego z domków, ale natrafiłem na zamknięte, bo ludowina była na robocie.

Nareszcie w jednym zastałem na szczęście kobietkę wcale do rzeczy i dwoje dzieci przy niej. Zdziwiła mię jej otwartość, ale pokazało się, że była czas jakiś w Ameryce między naszymi siermiężami, toć ją z grubsza ociosali, i nawet nad Wisłą dałaby sobie radę.

Jedna izba z grubego drzewa, niebielona jak zwykle w górach. Stragarze spoczywają na grubym poprzecznym „siostrzanie“ jak to u nas po karczmach dawniej można było widzieć, a na nim różne domowo-gospodarskie rupiecie jak osełki, świderki, przybory tkackie i t. p.

Mądrzy bowiem tamtejsi gazdowie uprawiają sporo lnu, a ich pracowite gosposie wyrabiają domowe dobre płótna, co u nas na powiślu trudno niestety ujrzeć.

Byłbym się z gosposią sporo ugadał, ale mój woźnica odpowiedział organiście żem z Polski i ks. pleban zazbierał mię galanta z chłopskiej chaty na plebanię. Plebanijka

na wzgórku mile się przedstawia, a wewnątrz tak samo.

W saloniku na powale wymalowano pięciu patryjotów węgierskich, a więc Zichy, Vereszmarty, Zrinya a reszy nie pomnę.

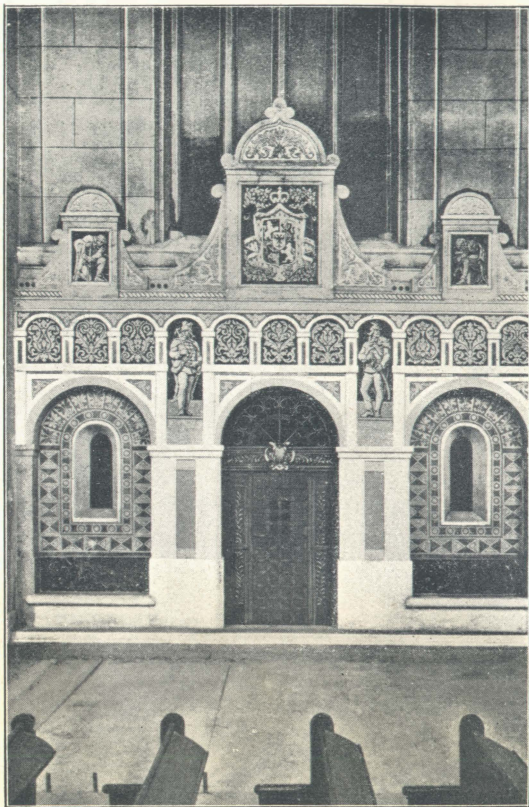
Księżyk młody ale obrotny i gadułka. Z biblijoteki widziałem, że ma pociąg do bibuły i nie z samym Dawidem ma do czynienia.

Naprzeciw probostwa jest piękna szkoła, w której nauczycielem jest miejscowy organista, bo to jest szkoła nie rządowa ale, jakby powiedzieć, parafialna.

Napotkałem tu dwie gazetki słowiańskie. Pierwsza ma tytuł „Krestan“ tj. Chrzęścijanin: Wychodzi od 19-stu lat w Budapeszcie co sobota, ale ilu ma czytelników, nie wiem. W tym numerku, co go czytałem, miętoli autor Tiszę za gwałty w parlamencie, nawołuje do trzeźwosci i podaje różne polityczne „Chyry“, tj. wiadomości. Druga pod tytułem: „Svaty Adalbert. (Vojteh), Mesacnik na obranu katolickiej Viry“ wychodzi 15 każdego miesiąca w Preszburgu — prawie czysto religijne.

Podziękowawszy zacnemu plebanowi za gościnę ruszyłem ku Czerwonemu klasztorowi, rozglądając się po ślicznych łąkach, na których pracowite ręce biednego ludu zbierały zboża dojrzałe.

Nie miałem się kogo zapytać o coś więcej, bo ksiądz z Podolińca pojechał w swoją drogę, toć dumałem sam z sobą, i ledwom



Wchód do grobowca Tökölego



Sarkofag Tökölego

spozstrzegł, jak wedle mnie przejechał wózkiem jakiś pan z strzelbą przy boku.

Widząc jakiś pałacyk, stoję, i dowiaduję się, że w tym dworku urodził się w r. 1816 Artur Giergej, jeden z wybitniejszych wodzów, podczas rewolucyi węgierskiej w r. 1848 i 49, kiedy to Moskale szli przez Galicję — Austrjakom na ratunek.

Miejscowość ta nazywa się „Toporc“⁴. Pałacyk, skromny, zamieszkuje dotąd rodzina Giergej, jak mi mówiła służąca Słowaczka z tego dworku, a jadący pan ze strzelbą do żeńców, był właśnie potomek wodza węgierskiego, który zmarł akurat w tym roku.

W dworku tym ma być wiele pamiątek po Giergeju, ale to już trudno było oglądać, a powtóre ten wódz lichy się spisał Węgrom na końcu, bo poddał się Moskalom z całą „armiją“. Naszych wodzów takich jak Dembiński i Bem, którzy tak się w tej rewolucji odznaczyli, bagatelizował, toć tam i nie miałem jakoś do jego pamiątek pociągu.

Dopchałem się nareszcie do Czerwonego Klasztoru, o którym tyle się słyszało. Schowany pomiędzy malowniczymi górami, nad falami Dunajca, odegrał w przeszłości nie zwyczajną rolę.

Nierycerski król Bolesław Wstydlivy, tu się schował przed nawałą „tatarską“, ale bo też to schowek nie ładajaki. Górzyska straszeczne po jednej i drugiej stronie Dunajca, boć tak zwaną górę „Trzech Koron“ rachują

na tysiąc metrów bez mała, więc nie łatwo było wrogowi, nieświadomemu odszukać zbiegów.

Spodziewałem się znaleźć klasztor w jakim takim porządku, boć to miejsce obmurowane dobrym murem, na którym napis głosi, że Paweł Rakoczy w r. 1630 kazał (go) wymurować.

Gdy mi jednak mała dziewczynka otwarła kościół, stanąłem jak wryty widząc taką straszliwą ruinę ową „brzydkość spustoszenia będącą na miejscu świętem“ jakiej w moim życiu dotąd nie widziałem.

Klasztor ten wybudował w r. 1319 jakąś hrabia ze Spiża, chcąc Pana Boga przebłagać za zabicie hr. Arnolda, a że go pokrył czerwona dachówka zwali go Czerwonym Klasztorem.

Fundator osadził w nim surowy zakon Kartuzów, którym królowie polscy opiekowali się niezwykle. Król Ludwik Węgierski dał im rybołówstwo, Jadwiga zapisała im corocznie 12 cetnarów soli, a i Jagiełło o nich wiele miał pamięci.

I żyli sobie spokojnie w tym cudnym ustroniu zakonnicy, aż do czasów, poki się nie wydobył na widownię Luter i jego nauka, żyli dopóty:

„Dopóki się swych reguł surowo trzymali, Lecz gdy w piątek swe brzuchy, mięsem posilili, Natychmiast się w krwiożerczych wilków przemienili, których dusze do dzisiaj błakających kniei, Jęczą w nocy, bez

żadnej, zbawienia nadziei“, jak góral Stęczyńskiemu opowiadał.

Czy dusze zakonników tłuką się po dziś dzień po lasach czyli nie, tego nikt mi nie powiedział. Faktem jest, że w r. 1563 cesarz Ferdynand zniósł zakonny klasztor tutejszy, bo przeor ówczesny poinformował go, że tam się źle zakonnicy sprawują. Zatem pisze ów cesarz że: „Klasztor w Lechnicy na Spiżu, o którym wyrozumieliśmy: że przez rozpustę niektórych zbiegów mało zakonnych, obrany już kilkakrotnie z rzeczy, przyborów a najbardziej ostatnią kradzieżą, po wielkiej części kilkakrotnie zbezczeszczony... przyłączamy go kapitule Spiskiej.¹

A lubo klasztor ten ojcowie kameduli doprowadzili do świetnego stanu, to w r. 1782 cesarz Józef go nie zapomniał. Zakon zniesiono, graty sprzedano, a dobra wzięto na fundusz religijny, po austriacku.

Taką drogą klasztor ten doszedł do tej smutnej, a przykrej dla sumienia katolickiego ruiny, i dziś można powiedzieć, za Stęczyńskiem.²⁾

„A gdzie niegdyś pobożne bywały dumania, Sowa huczy po nocy, a w dzień wiatr przegania“.

Boleśnie się robi człowiekowi, gdy ogląda ruiny historycznego zamku lub innej budowy, która w przeszłości odegrała wybitną

¹⁾ Sądeczyzna Morawskiego.

²⁾ Tatry - wierszem z rycinami przez Stęczyńskiego

rolę, była niemym świadkiem wielu głośnych wypadków, ale najsmutniej oglądać dom boży w ruinie ot choćby i ten Czerwony klasztor, w którego progi z boleścią wchodziłem.

Budowa niepoślednia, oddrzwia piękne, i w ogóle zewnątrz wygląda jeszcze jako tako, ależ wewnątrz cóż za ruina i co za pustka!

Malowidła odrapane, gołe ściany, a tylko na jednej wisi dotąd na krzyżu „Król boleści“ Chrystus, nie źle w drzewie wykonany. Ci co rozdrapali z klasztoru, co tylko było droższego, miało jakąś dla nich wartość, zostawili krucyfiks tutaj w spokoju, którego sprzedać przecież było nie sposób.

I nie wiem, co lepiej było, czy żeby handlarze sprzedali, lub w ogóle usunęli stąd ten krucyfiks, aby nie był świadkiem „brzydkości spustoszenia“ w swym przybytku, sprawionym przez swych niby wyznawców, czyli że tu dotąd wisi na olbrzymim drzewie krzyża. Sądzę, że druga alternatywa lepsza. Może widok tej figury wzruszy czyjeś serce i poświęci nieco groszy, aby starodawny kościół, jeżeli już nie do pierwotnej świetności, to bodaj do przyzwoitszego stanu doprowadzić.

Pod posadzką kościoła były piwnice na groby, w których zapewne chowano zakonników. Dziś kamień wchodowy na boku, a kości pustelników zapewne sprzedano na mączkę kostną. Nie lepiej, aby ich byli

złożyli po chłopsku w czystą ziemię od razu po śmierci?

W zakrystji jest duży ołtarzyk niby, w którym, jak przez szkło widać, były niegdyś szczątki świętych. Dziś tylko widać puste miejsca, gdzie były i karteczki z napisami, a szczątki pewno wiatr rozniósł po świecie. Przy kościele są ruiny domków w których wiedli żywot surowi pustelnicy, którzy zdala od zgiełku światowego — tu chwalili Boga, a w tych małych ogródeczkach, gdzie niegdyś pielęgnowali kwiaty i zioła lecznicze, przewalają się dziś opasłe świny i płochy kozy, tego pana, który dziś tutaj mieszka, i ma klucze od kościoła. Miejsowość ta, która musi na każdym przechodniu zrobić przykre wrażenie, należy ponoś do biskupstwa grecko-katolickiego w Preszowie...

Nie wspomniałem dotąd ani razu o pladze tutejszej dla podróżnych t. j. o cyganach. Od samej Nidzicy po Sromowce wyżnie snuje się to próżniacze plemię po gościńcach a działwa ich naga niemal nie daje podróżnym wytchnienia.

Ciekawy to gatunek ludzi. Będzie głód cierpiał, będzie biedował, a do roboty go ani rusz użyć. Kradzieże jego robotą, muzyka jego żywiołem i tak życie koczownicze im upływa, a chociaż jednakże: „Cygan bez roli, cygan bez chaty, Lecz cygan wolny, cygan bogaty“, jak pieśń powiada.

Jakiej to wiary, gdzie ma metryki, przy-

należność, któż to może wiedzieć, a kazi-rodztwo między nimi, to już szkoda o tem mówić.

Był wypadek, że cyganowi dowiedli, że z siostrą rodzoną miał synka. Sędzia się go pytał, jak to śmiał uczynić?

Na to cygan: Ej, proszę pana sędziego, miałby jej to kto obcy uczynić, to już lepiej ze swój... No i gadaj z takim.

W Sromowcach opadło mię dwoje małych cyganiąt, kiedym się cudował, patrząc na wspaniały szczyt trzech koron. Dziewczynka bardzo miła, może tak w 8 do 9 lat i chłopczysko. któremu z oczu źle pa-trzyło. Kazałem im mówić pacierz, a naj-przód chłopakowi. Nie umiał nic. Za to cy-ganeczka klęcząco zmówiła Ojcie Nasz i Zdrowaś czysto po polsku, toż dostała na-grodę, ale prosiła i za bratem, obiecując że go pacierza nauczy. To nie pomogło, co widząc cyganek, powiada: Panie, ona już i o Piłacie umie, bo chodzi do szkoły.

Przy brzegu stała gromadka górali przy swych ciekawych łódkach, które będąc z pnia jednego wyciosane, żywo przypom-niały mi łódki retmańskie na Wiśle, które mi dotąd żywo stoją w pamięci.

Nie myślałem, że jazda Dunajcem do Szczawnicy ma tyle cudnych widoków. Łó-deczki mkną po bystrym nurcie zuchwałego Dunajca, że się jeno migają wspaniałe szczyty stromych gór, a w górze rozlane błękitne morze, wprowadza człowieka w ja-

kaś nadziejską zadumę, że zapomina na chwilę o całym świecie.

Widziałem wiele pięknych okolic u nas w Polsce i za granicą, ale takiego miłego zakątka jak Pieniny, nie dało mi się wiedzieć. To też mnóstwo swoich, a i obcych, zwiedza Pieniny, a wszyscy nie mogą się ich nachwalić i nacudować nimi.

Z Szczawnicy przybyłem do chałupy już z deszczem, który sobie używał aż do zimy.

